

Biblioteka  
U.M.K.  
Toruń

216263

II

*Ks. Kardynał Wiseman*  
Arcybiskup w Westminsterze

Tłumaczył

Ks. Jan Doering.



*Piotr Mastruczy*  
(Mastrucel Pietro.)



K. WOJCIECHOWSKI,  
Brodzica.

wise  
Masł  
552

37288

Piotr Mastruczy

(Mastrucei Pietro) w Toruniu.



Powieść

napisał

*Ks. Kardynał Wiseman*

Arcybiskup w Westminster.

Tłómaczył

**Ks. Jan Doering.**



Brodnica.

K. WOJCIECHOWSKI.

BIBLIOTEKA

Państw. Gimnazjum Żeńskiego

— w Toruniu —

Inwentarz Nr. ~~4928~~

Katalog Nr. ~~4928~~ 2837.





~~b. r. 552~~

216.263

W jednej z romantycznych części ziemi dawnych Sabinczyków, na pochyłości skalistego wzgórza, znajdziesz jedną z owych uroczych wiosek włoskich, których położenie takie, iż sądziłbyś, że ten, który pierwszy je wybrał, pozazdrościł cichego ustronia jakimś ptakom drapieżnym. Wioska ta nazywa się „Sklepiona skała“.

Cóż za cudowny ztąd widok! Dla tego jednakże, który ma gust angielski, dla wygodniasia, jakżeż nędznie wydaje się tu życie; ani końmi ani ręcznym nawet wozem dojechać nie podobna, jedna tylko ścieżka, stroma, skalista, właśnie dość szeroka, żeby wolne dać przejście mułom, ścieżka,

z której mieszkańcy siola nigdy nie uważali za użyteczne, usunąć ostre kamienie, odrywające się niekiedy od górzystego sklepienia i z łoskotem toczące się po niej, tworzy jedyny przystęp do wioski, zwanej „Sklepiona skała“. Podróżny postępujący tą ścieżką na samem wejściu widzi wioskę tuż przed oczyma, tak blisko, że prawie ręką dosięgnąć, — złudzenie to tylko. Wnet bowiem napotka parowy, które przekroczyć, góry, które podejść musi, a ostatecznie wypadnie mu przedzierać się przez chrósty i krzewiny, rodzaj lasu przerzedzonego, zanim stanie u stóp ogromnej góry, na której skalistym grzbiecie osiadła się wioska. Czas ten jednakże, którego potrzeba, żeby dostać się na miejsce, chociaż powoli upływający, niezupełnie jednak stracony dla tego, który smakuje w wycieczkach na pół dzikich i kocha się w krajobrazach. Tutaj bowiem ma sposobność studyowania układu

gór, podziwiania rzadkich widoków i przypatrzenia się wiosce, z punktów najrozmaitszych. Zresztą, nawiasem mówiąc, dobrze czyni ten, który wioskom mianowicie we Włoszech nie zaniedba przypatrzeć się z daleka, gdyż wydadzą mu one się piękniejsze i więcej urocze na zewnątrz, aniżeli w środku.

Chaty przy sobie poustawiane czyli raczej w jednym jakoby punkcie nagromadzone, podobne wtenczas do bukietu, jaki wieśniaczka z pólnych uwija kwiatów; nie znajdziesz tutaj regularności owej, z jaką budowniczy podejmują budowlę, natomiast piękny brunatny kolor ścian wystawionych na wszelkie kaprysy powietrza, dachy ciemną pokryte dachówką, najrozmaitsze a zawsze oryginalne szczyty chat, rysujące się na ciemnym niebieskawym niebie włoskiem, wszystko to razem przykłada się do tego, iż wioska rzeczywiście piękną i interesną się wy-

daje. Lecz skoro tylko wejdiesz do wnętrza, urok ten cały niknie i ledwie zrozumieć zdołasz, jakim sposobem istoty ludzkie tutaj zamieszkać są w stanie. Nawet kościółek, chociaż pobudowany na miejscu, na którym od czasów Apostołów pewnie bez przerwy wznosiły się budowle na cel ten przeznaczone, szczególniejszą nacechowany prostotą, a chociaż jedyny, na który mieszkańcy łożą wszystko, cokolwiek im zostaje po załatwieniu najskromniejszych potrzeb życia, zawsze on będzie ubogi i niepokazny; nie zasługiwałby nawet na uwagę, gdyby wspomnieć o nim nie wypadało w interesie naszej powieści.

W tej tedy wiosce, w chacie ciasnej i na pozór nie bardzo porządnej na końcu jednej z maluczkich ulic siola, źle wybrukowanych i prawie niedostępnych, mieszkał lat temu kilka starzec, który nazywał się Piotr Mastruczy. Miał on jedyną córkę, która

z nim razem mieszkała w chacie, wdowa lat czterdziestu kilka, której syn jedynak także Piotr, mógł mieć w chwili, kiedy powieść nasza się rozpoczyna, lat ośmnaście lub też dwadzieścia. Był to złośliwy jakiś charakter, któremu najspokojniejsi sąsiedzi nie bardzo wróżyli na przyszłość. Każdą razą, kiedy było święto jakie, a we Włoszech o święta nie trudno, był to Piotr, który się odznaczał od innych, mianowicie w grach i ćwiczeniach, jakie szczególniejszej wymagały siły i zręczności. Gdyby nie było nic więcej jak to, możnaby tylko pochwalić młodego chłopaka; ale niestety ile razy była pijatyka w karczmie, albo skóry garbowanie we wsi, mogłeś być pewny, że znajdziesz i tutaj Piotra na czele, podobnie jak przy grze lub strzelaniu do tarczy. Biedny chłopiec! Nigdy on nie zaznał tego, co znaczy powaga ojcowska, gdyż utracił ojca, dzieckiem jeszcze będąc, a matka, cho-



ciąż dobra niewiasta, pod wielu względami, nie należała ona jednakże do kobiet, u których wdowieństwo zradza energią i siłę zdolną zastąpić miejsce ojca tak dobrze jak miejsce matki. — Gorąco kochając jedynaka, sama siebie zapominała, idąc ślepo za popędem uczucia swego; z tem wszystkiem nie była ona dobrą matką. Gdyby mąż jej był został przy życiu, uwagi jego i przykład byłyby z pewnością inny zupełnie odniosły skutek. Mniej kierując się rozsądkiem, aniżeli chwilowym popędem w postępowaniu swoim wobec dziecka, kobieta ta wyrządzała mu złą przysługę.

I tak niekiedy ustępowała kaprysom jego; później, żeby sprostować złe, odmawiała mu często tego, na co bez trudności powinna była zezwolić. Wnet nie znała miary w czułościach swych dla niego, to znów w gniewie przeklinała go i biła. Jednym słowem, była to jedna z owych istot, które

chwilowym tylko rządzą się szaleństwem a które przy najlepszej intencji są przyczyną nieporządku, — czyniąc krzywdę drugim, ponieważ same siebie opanować nie umieją. Ludzie poczęli wygadywać na starca, że nie dość troszczy się, o córkę i wnuka. Ale niestety był on już za słaby, żeby mieszzać się do spraw domowych. Zresztą to, co myślał, nieraz wyznał otwarcie córce i wnukowi i częściej groził tem, co przy podobnem postępowaniu dla obojga w przyszłości nastąpić może. Lecz kiedy widział, że mało zważano na przestrogi jego, nie odzywał się więcej.

W chwili, kiedy rozpoczyna się powieść nasza, słabość starca znacznie się wzmogła; przewidywał sam, iż nie długo mu żyć na tej ziemi. — Wbrew przywyknieniom swoim młody Piotr został się jednego popołudnia w chacie. Dnia tego właśnie dziad jego tak mocno uczuł zbliżającą się śmierć, iż bez

zwłoki postanowił posłać po księdza. Kazał tedy Piotrowi, żeby poszedł poprosić Ks. proboszcza i objaśnić go o celu odwiedzin. Chłopak usłuchał; ale miasto poczekać w plebanii, ażby kapłan był gotowy, z obawy, żeby go nie spotkała nagana jaka, czemp prędzej wymknął się, spiesząc napowrót do chaty. Chwili tej użył starzec, żeby dać pozostałym ostatnie napomnienia.

— Siły moje, — rzekł, — nikną widocznie, śmierć się zbliża, za chwilę już mnie tu nie będzie, zostaniecie sami. Lecz będzie to lepiej dla was, gdyż do niczego nie byłem wam użyteczny, owszem nie raz musieliście byli uczuć we mnie prędzej ciężar jaki aniżeli pomoc; mimo złego humoru w czasie słabości mojej, ufam, że mi przebaczycie wszystko z całego serca. Chcąc dać dowód mojej dla was życzliwości, prosiłem nieraz Boga miłosierdzia, aby wam udzielił raczył wszystkiego, cokolwiek dobre i użyteczneby

być mogło dla was na tej ziemi; żeby prowadzić was raczył w tem życiu, a kiedyś dał szczęśliwość w niebie! Ciebie, córko moja, oddałem pod opiekę Najśw. Panny, która także żyła w wdowieństwie, a która z pewnością popierać cię będzie w rozmaitych próbach, jakie ci niebo kiedy zesłać postanowi. Chatę moją i górę winną zostawiam na utrzymanie wasze.

Potem zwróciwszy się do wnuka swego i zebrawszy wszystkie siły swoje, tak się odezwał:

233A.  
— Piotrze, Piotrze postępujesz złą drogą, rzadko chodzisz na mszę św., nigdy do spowiedzi. Ks. proboszcz tyle a tyle razy powtarzał ci to samo, ale bez skutku; na czem to wszystko się skończy? Ja jestem we wieku i umierający. Tobie po śmierci matki Twojej zostawiam wszystko, co posiadam — ale mam także obowiązek dać ci ostatnie napomnienia. Oh! nie gardź tą radą! Bóg sprawiedliwy — kara czeka

grzesznika! — Ale Bóg jest także dobry i miłosierny, gdyż nie tylko to wszystko, co posiadamy, pochodzi z dobroci Jego, ale nadto Syn Jego najukochańszy opuścił niebo z miłości dla nas, żył i umarł na tej ziemi dla tego, żebyśmy żyć mogli z nim razem na wieki! Matka Boska i święci również są pełni dobroci; nikt nie udał się do nich o pomoc, żeby nie był wysłuchany. — Piotrze, ty wiesz to wszystko, a jednakże, czemuż nie chcesz się zmienić? Oh! nie zatwardzaj serca twego i nie rozpaczaj, raz jeszcze powtarzam, nie rozpaczaj!

Starzec tak się czuł zmęczony w tej chwili, iż zatrzymać się musiał. Wnet też wszedł kapłan, niosąc pokarm na drogę wieczności, tak że już nie stało czasu do powiedzenia reszty. Skoro odebrał ostatnie Sakramenta św. począł niby drzemać, i nie długo z pokojem w sercu i pogodą na twarzy usnął na wieki.

Z pospiechem, jaki wymaga klimat ciepły, a jaki nie gorszy weale mieszkańców kraju, zajęto się pogrzebem. Wnet przyniesiono trumnę, ustawiono orszak pogrzebowy, zapalono gromnice, zanucono psalmy żałobne, niosąc zwłoki starca do kościoła, żeby po raz ostatni wystawić je na widok krewnych i przyjaciół.

Zmarły, który spokojnie odbierał ostatnie te pożegnania przyjaciół swoich, wymownie zdawał się prosić o pamięć w modlitwie i przypominać wszystkim, jak szybko mija to życie, a jak bliska jest godzina, która kiedyś nadejdzie dla każdego.

W chacie ze śmiercią starca niejedna zaszła zmiana. Stare krzesło koło okna, zajęte przez lat tyle, stało w kącie dzisiaj; przechodził dzień po dniu, tydzień po tygodniu, a nikt nie zwracał nań uwagi. Przyjaciele starca i znajomi, którzy zwykli przechodzić ulicą koło jego chaty, twierdząc,



iż najbliższa to i najwygodniejsza dlań droga, lecz w rzeczywistości, ponieważ lubili pogawędzić po przyjacielsku i przepędzić chwil kilka z nieboszczykiem, powoli mijać poczęli zupełnie tę ulicę, znalazłszy inną drogę i krótszą i wygodniejszą. — Marya, córka jego płacze i pracuje, pracuje i płacze. Pogadanka z sąsiadami sprawia jej jakąś rozrywkę; pociesza się tą myślą, że ojciec jej dobrym był chrześcijaninem; od czasu do czasu zanosi na msze św., żywiąc tę nadzieję, że czas pokuty jego w czyściu wnet skończy się musi. Mimo to wspomnienie o starcu ciągle jej wraca na pamięć, nie może zapomnieć, że miała ojca, którego utraciła; świat cały wydaje jej się smutniejszym i więcej ponurym, odkąd starca zabrakło w chacie. Próby i trudności życia odtąd wydają jej się dotkliwsze i bolesniejsze, bo już nie ma tego, z którymby się niemi podzielić i nawzajem pocieszyć mogła.

Czas i oddanie się zupełnie pod wolę Boga zaledwie w części zagoiły bóle serca, kiedy inna trudniejsza próba spadła na biedną wdowę i przycisnęła ją do ziemi. Po śmierci starca Piotr więcej niż zwykle okazywał serca i uczucia dla matki, czem nie tylko ją zdziwił, ale w smutku pocieszył. Jak większa część bowiem ludzi, których popsuły zbytne pieszczoty matczyne albo nieroztropność w wychowaniu, dalekim był od tego, żeby być dobrym i wdzięcznym synem. Zmiana więc taka uchodzić mogła za dobry znak, a ponieważ prócz tego częściej bywał na mszy w Niedziele i Święta i więcej niż raz widywał się z Ks. proboszczem, słusznie ufała matka, iż szczerze na inną myśli wstąpić drogę i zmienić życie swoje. Ileż z tej nadziei było dlań radości! Jakżeż cieszyli się przyjaciele rodziny, sądząc, że wkrótce ich oczekiwania całkiem się spełnią, że Piotr zegnien uparty

i hardy kark swój, że pójdzie do spowiedzi z sercem prawdziwie skruszonym. Żli towarzysze uczuwali wstyd jakiś w jego obecności, kiedy zacniejsi tymczasem i cnotliwsi coraz więcej lgnąć do niego poczęli. Winszowali mu, iż na czas jeszcze wymknął się przed sposobem życia, jakie nieomylnie byłoby mu zgotowało zgubę wieczną; a i on sam powtarzał nieraz, chociaż z pewną lekkomyślnością, że czas, w którym bawił się w niedorzeczności, na zawsze już minął. Biedny chłopiec! nie wiedział on zapewne, jak trudno tym, którzy żyli przez czas dłuższy w występkach i którzy je spełniali z pewną żądzą nienasyconą, zwrócić kroki swoje, i duszą dotąd czarną, sercem splamionem służyć Bogu swemu tak, jak On tego wymaga.

Piotr udawać nie umiał; miał on rzeczywiście intencją zmienić życie swoje, ale błąd jego polegał na tem, że wiedząc, iż próba pierwsza mu się

udała, w prowadzeniu się całym swoim i w mowie udawał, jakoby już był doszedł do celu, a i drugim pozwolił mówić o tem, że już zupełnie pewną postępuje drogą i cofnąć się nigdy nie zdolen. Lecz niestety miał on na sobie sprawdzić znaczenie owego przysłowia, że jaskółka jedna nie stanowi lata, że rozpocząć a dokonać wielce od siebie dalekie, że ten, który wkłada zbroję na siebie, nie może równie chępić się jak ten, który ją składa.

Otóż tedy zdarzyło się jemu, jak to się zdarza wielu innym, iż niedorostkiem jeszcze będąc, upodobał sobie pomiędzy towarzyszkami gry młodą jedną dziewczynę, którą prznosił nad inne. Imię dziewczęcia było Magdalena. Charaktery ich zupełnie od siebie były różne; niktby też odgadnąć nie zdołał, dla czego się tak mocno pokochali? Ale tak raz było, a zwyczaj przechadzania się niekiedy i wza-



jemnej rozmowy obojga dzieci po za gronem bawiących się, było przedmiotem żartobliwej pogawędki dla rodziców. Tymczasem z latami przywiązanie to znacznie się oziębilo.

U Magdaleny przystojność i siła charakteru rosła stopniowo, kiedy tymczasem młody chłopiec powoli stracił wszystko, co dobrego posiadał w sercu, popełniając występki, jakich plamy chyba ogień sam mógł wygładzić i zbierając nad głową swoją gniew sprawiedliwości boskiej. Młoda dziewczyna przyjmowała go jeszcze z pewną uprzejmością, ale również z powagą, zwiększającą się z dnia na dzień, tak iż Piotr obrażony w próżności swojej i nie widząc w tem jak wstrętną oziębłość, przestał bywać w jej chacie. Oddalenie się Piotra wielce przykrem było dla młodej dziewczyny; widząc, iż tak umyślnie ją omija, uczuła dziwny jakiś żal i smutek w sercu. Lecz wnet pojęła, że inaczej

być nie mogło i odtąd spokojniej oddawała się obowiązkom swoim. W tej swojej rezygnacji była wytrwałą do tego stopnia, iż umiała zapomnieć zupełnie stosunek dawniejszy, a chociaż z przyjemnością słuchała, kiedy mówiono tedy owedy o dziełach dokonanych przez jej towarzysza młodości i o czynnościach wspaniałomyślnych, tak sprzecznych z jego charakterem i całym prowadzeniem się, serce jej na zawsze oderwało się od Piotra i w chwili, kiedy starzec przeniósł się do wieczności, przyjmować poczyniała szczerze umizgi młodego człowieka, stolarza, który osiedlił się od pewnego czasu blisko chaty ojca Magdaleny.

Nazywał on się Jakób Czelny; a chociaż młodzieniec ten zupełnie różnił się od Piotra, co do zewnętrznej strony, nie mając ani tej mężkości ani odwagi, jaką posiadał tamten, a która w oczach młodej dziewczyny tyle miała uroku, był on jednakże, wiedziała



o tem dobrze, wyższy daleko od Piotra w cnocie i godności charakteru. Żeby już całkiem kochała Jakóba w chwili kiedy poczęto mówić o poprawie Piotra, tego powiedzieć nie można; ale poważała go szczerze, a ponieważ zamiary swoje w sposób nie dwuznaczny objawił i ponieważ ojciec i matka Magdaleny przychylali się do połączenia obojga młodych ludzi, dziewczę upatrzyło w poczciwym rzemieślniku przyszłego swego męża. Z ukontentowaniem pewnem marzyło o przyszłości, lecz przyszłość ta już była przyćmiona chmurką ponurą, już nie wydawała ona jej się tyle jasną i pogodną, chociaż zawsze przyjemną, jak przed niedawnym czasem. Przeznaczenie jej najszcześniejsze, mówiąc po ludzku, zabłysło na chwilę, ale szybko znikło, a los, jaki potem jej zostawał, los najszcześniejszy, jakiego po pierwszym spodziewać się miała prawo, miał jej okrutnie zostać wydarty.

I któż mógł dopuścić się tego czynu, jeżeli nie Piotr? Odwykł on zupełnie od karczmy; a jeżeli od czasu do czasu przyłączył się do młodzieży wiejskiej, żeby brać udział w grze jakiej, to jedynie dla tego, aby pokazać wypadkiem, że ręka jego jeszcze tak silna, oko jego takie wprawne jak przedtem, i że mógłby być, gdyby zechciał, wszystkiem, czem był dawniej. Ale nigdy dłużej nie zostawał z dawnymi towarzyszami swymi. Czuł się bez energii; a kiedy ową trochę pracy, która mu przypadła, ukończył, nie wiedział co robić ze sobą; włączył się z kąta w kąt, albo też zostawał się w chacie przy matce. Napróżno zwracano mu uwagę na to, iż zanadto surowy dla siebie, że dawniej miał to nieszczęście źle się prowadzić i szukać przyjemności w złem towarzystwie, to przecież nie powinno być dla niego powodem lub przeszkodą, żeby nie brać udziału z umiarkowaniem w za-

bawach dozwolonych, jakich nie brakowało w dni świąteczne. Zgubił on równowagę duszy swojej, z jednej ostateczności rzucił się w drugą, a żadna czynność, na woli tylko samej oparta, nie zdolna tej równowagi przywrócić. Zabawy umiarkowane nie były zabawy dla niego. Nie śmiał rzucić się w nie z całą namiętnością, a inaczej nie umiał znaleźć w nich przyjemności. Cóż przeto wypadało uczynić? Matka jego życzyła sobie, żeby się ożenił i nieraz mu o tem mówiła. Dla czegoż nie? Czyż cha-ta również jak wszystko, co do niej przylegało, nie było jego własnością? Tak to starała się wywodzić synowi radę swoją biedna kobieta, a Piotr lubił ten argument, bo z pewnością więcej myślał o samym sobie, aniżeli o matce. Lecz kogoż miał pojąć za żonę? O kogoż się starał dotąd? Prawdę mówiąc, nie starał się o nikogo, ale był ktoś, którego sobie przypomi-

nał z przyjemnością, była to Magdalena. Zatrwożył on się wprawdzie trochę, kiedy pomyślał ile ona mu się zawsze wydawała poważną w chwili, kiedy on nie myślał jak o śmiechu i o żartach. Lecz nie mógł zaprzeczyć, że mimo to, iż mogła być mieć więcej uwagi na uczucia jego, w każdym razie lepiej sobie postąpiła od niego. Te kilka lat ostatnich, jakie przeszły, stanowiły w sercu jego próżnię, o której strach go było wspomnieć. Lubił sięgać pamięcią swych dni szczęśliwych i tyle wesołych pierwszej młodości, a był przekonany, że z Magdaleną przy boku mógłby jeszcze kiedyś być tak szczęśliwym, jak dawniej. Raz ułożywszy się co do wyboru, postanowił pomówić o tem z matką i jak najprędzej upatrzeć sposobność, która go zbliżyła do dawnej przyjaciółki.

Wreszcie dnia jednego, party uczuciem serca, nie chcąc już dłużej zwłóczyć wykonania tak ważnego

przedsięwzięcia, wybrał się do chaty rodziców Magdaleny. Dziewczyna wiedziała o zmianie, jaka zaszła w postępowaniu Piotra, a zachowując w sercu swoim zawsze miłe wspomnienie z lat dzieciństwa dla ulubionego towarzysza gry i zabawy, z przyjemnością zawsze słuchała, kiedy inni dobrze o nim mówili. Wprawdzie nie zajmował on już tego samego miejsca w jej sercu co dawniej, ale pozostał on zawsze dla niej jednym z tych, który ją obchodził, i który zawsze w umyśle jej pewien budził interes. A nawet w ostatnich czasach, w których nigdy prawie nie widywali się z bliska, nie zaniedbywali odnawiać starej przyjaźni, ile razy zdarzało się spotkać się po drodze lub przy kościele.

Mimo to częściej zdawało się dziewczynie, jakoby Piotr umyślnie uchodził jej z drogi, umyślnie unikał jej spotkania. Myśl ta bolała ją i zasmucała, gdyż w sumieniu nie czuła najmniej-

szych wyrzutów, żeby czemkolwiek przyczynić się była mogła do oziębnia tej przyjaźni, która dla niej samej była powodem szczęścia i radości. W przypuszczeniu tem utwierdziła ją zupełnie późniejsza obojętność i niepamięć Piotra, dla tego też uczucia jej od pewnego czasu w inną zwróciły się stronę. Z pewnym przetoż zdziwieniem, ale i radością spostrzegła Piotra w chwili, kiedy zbliżał się ku chacie kochanych jej rodziców, dokąd już od dawna bodaj zapomniał drogę.

— Dzięki Bogu i Matce Najśw., ~~\*~~ pomyślała w sercu uradowana i szczęścia pełna: — To, o com prosiła, w modlitwach moich, wreszcie się ziściło, Bóg łaskawy poruszył serce jego, wszedł on w siebie, gdyż inaczej nie szukałby towarzystwa dawniejszych przyjaciół swoich.

Ukontentowanie to swoje dała mu uczuć w przyjęciu, którem jakby wyrazić chciała, że wszystko mu prze-



bacza, że żadnych wyrzutów mu robić nie myśli, żeby tylko nie mącić tej chwileczki tak rzadkiego pokoju i rozkoszy. W tem wszystkim ani na chwilę pomyślała o tem, żeby odwiedziny te Piotra inną miały przyczynę, jak odświeżenia starej przyjaźni i pogodzenia się z tymi, których, nie wiedząc dla czego, umyślnie przez czas pewien się zaniedbywało. — Zresztą wszelkie dawniejsze rozmowy z Piotrem nie wychodziły nigdy za obręb wyrazów, jakie naturalnym prądem płyną ze szczerzej i otwartej przyjaźni. A chociaż była chwila, w której wydawał on się w oczach Magdaleny czemś więcej aniżeli zwykłym przyjacielem, to jednakże chwila ta tak była krótką i przemijającą, że trudno było wnioskować ztąd, że zamiary Piotra były inne, jak te, których, sądząc z roztropnością i zimną rozwagą, w tej chwili domagała się cnotliwa dziewczyna. Piotr tymczasem przy-

pominał sobie dobrze owę chwilę, w której tak łatwo mu było dojść do celu życzeń i wszelkich pragnień swoich; wiedział on także, że niczem jak swoim lekkomyślnem życiem oddalił na zawsze może to szczęście, które tak bliskiem było jego; lecz teraz zmienwszy sposób życia, a tem samem usunąwszy najgłówniejsze przeszkody, pełen był nadziei, że na nowo, łatwym nawet sposobem, zdobędzie dawniejsze przywiązanie i miłość tej, którą niegdyś, jeżeli nie z pogardą, to przynajmniej z obojętnością wielką, miał czoło odepchnąć.

W takim tedy porządku rzeczy i okoliczności nie mało zdziwiła się Magdalena, kiedy, znajdując się na chwilkę sama z młodym człowiekiem, zaraz z pierwszych słów Piotra dowiedziała się przyczyny tych niespodzianych odwiedzin. Zdziwiła się i zafrasowała równocześnie, a nie zdolna ukryć na zewnątrz tego, co czuła w sercu, zu-

pełnie zbiła z toru biednego chłopaka. Nie mógł on zrozumieć, żeby podobne żądanie dziwnem jej się lub nadzwyczajnem wydawać mogło, kiedy prawie od dzieciństwa rzecz to była jakby ułożona. Serce jego zawrzało gniewem, a jednakże gniew ten rozbroił się, kiedy popatrzył się na to dziewczę tak dobre, tak cnotliwe. Jakby na przekorę wszystko znajdował u niej tak uroczem i wabiącym, jej ruchy tyle zręczne, w twarzy tyle dobroci, w sercu jakąś pogodę, iż, patrząc się na to wszystko, przebaczyć sobie nie mógł, jakim sposobem mógł choćby na chwilę zapomnieć o tej, która wszystkie posiadała cnoty i doskonałości.

Przyjęcie tak miłe i serdeczne, jakiego doznał na wstępie, przyczyniło się nie mało do tego, żeby go utwierdzić w swywolnych pretensjach do serca prostej wieśniaczki, był też aż nadto przekonany o tem, że nie będzie potrzeba powtórnych odwiedzin, żeby

naprawić wszystko, że mianowicie od razu zdobędzie serce to tak skromne i prostoty pełne, którego te kilka lat przerwy, tak sobie wystawiał, nie zdołały zmienić w uczuciach i w wyborze przedmiotu, który miał być warunkiem przyszłego szczęścia. Biedny chłopiec nie myślał jak o sobie, samolubstwo zakorzeniło się w sercu jego, podobnie jak grzyb osiada się na drzewie, które niszczyć poczyna. Zdawało mu się, że wszystko ulegać winno jego życzeniom i kaprysowi, ponieważ od początku był na czele wiejskiej młodzieży, nie zwyczajny ulegać woli i rozkazowi innych.

Ileż zmiany te słów kilka Piotra sprowadziły w głosie i ruchach Magdaleny! Było to coś podobnego do owej różnicy temperatury, jaką się uczuwa przechodząc w chacie włoskiej z owej strony, którą prawie bezustannie dzień cały słońce ogrzewa, do części, w której panuje zimny, wilgo-

tnawy chłód — przejście, które w tym właśnie kraju tak jest gwałtowne, iż prawie pojąć trudno nam, którzyśmy przywykli do klimatu średniego. Zmiana ta rozbudziła w sercu Piotra dawniejsze namiętności, czuł on się więcej obrażonym, aniżeli kiedykolwiek.

— Cóż to ma znaczyć? — pomyślał sobie. — Czyż te dwa lub trzy lata, jakie przeszły od chwili, kiedy po raz ostatni odwiedzał chatę rodziców Magdaleny, tak bardzo zmienić mnie mogło na własną niekorzyść, żebym zasłużył na podobną obojętność? Czemżeż wytłómaczyć sobie taką pogardę?

Nie był on nigdy poniżony do tego stopnia, nie znał on podobnej odprawy; widział, że pierwszy raz w życiu nim pogardzono i to w chwili, kiedy czuł się lepszym i doskonalszym od wszystkich; to też od gniewu wargi gryść począł. Nie umiejąc opanować siebie, przytłumił tej burzy, jaka po-

wstała w sercu jego, opuścił dom, w którym myślał znaleźć wszystko, spiesząc do własnej chaty tą samą drogą, co przed chwilą, ale z innemi zupełnie myślami. Dzień ten rozpoczął się tak szczęśliwie, zdawało się Piotrowi, że weselszy jak zwykle, czuł nawet dziwne jakieś ukontentowanie wewnętrzne w chwili, kiedy opuszczał chatę, żeby odwiedzić starych przyjaciół po długim czasie raz pierwszy. I żeby tej wewnętrznej radości dać wyraz na zewnątrz, włożył na siebie najlepsze ubranie świąteczne. Czarną i bujną czuprynę schował pod kapelusz brunatny w formie głowy cukrowej, przybrany w wstążkę i pióro, wdział na się kaftan pluszowy, pięknie przystrojony w koronki koloru purpurowego, jednym słowem, przybrał się w to, co miał najlepszego w garderobie swojej. Wybrał się z domu lekki, zadowolony ze siebie, pewien zwycięstwa; a wracał w tej chwili z czołem zasepionem,



z obliczem, na którym malował się gniew i zawziętość, tak iż ludzie i psy, widząc go w tym stanie, zdaleka uchodzili mu z drogi. Matka jego podniosła się z miejsca, żeby go powitać w chwili, kiedy wstępował do chaty, ale widząc wylany na twarzy czarny jakiś smutek, z przestachu i bóleści płakać poczęła. Znając jednak charakter syna i usposobienie jego, nie pytała go w tej chwili o przyczynę, tak nagłej zmiany; zresztą i czasu na to nie było, gdyż Piotr przeszedł się tylko przez izbę, a jakby chciał uniknąć jej towarzystwa, czempędzej wszedł po schodach na górę do swojej komory.

Tutaj zamknąwszy się na klucz, rozpaczy pełen i gniewu rzucił się na posłanie. — Zostawmy Piotra w tej walce pomiędzy dobrymi i złemi myślami, pomiędzy chęcią zemsty, a chęcią przebaczenia, pomiędzy namiętno-

ścią a zimnym rozsądkiem, a wróćmy do chaty, którą co dopiero był opuścił.

Biedna Magdalena! I ona była nieszczęśliwą, widząc ten niepokój w duszy Piotra. Skoro tylko odszedł, poczęła badać sumienie swoje i zadawać sama sobie pytania, czy inaczej mogła była postąpić, jak postąpiła rzeczywiście. — Zdawało jej się, że postępowanie jej nie było ani właściwe, ani dobre, lecz nie mogła powiedzieć dla czego? Nie trzeba może było przyjmować go na pierwszym kroku tak serdecznie, pomyślała sobie, albo też wypadało więcej okazać dobroci przy końcu dla tak dziwnego, jak on, przyjaciela, który nie wiedząc, — jak później dostrzegła tego, o stósunku jej do Czelnego, pełen dawniejszych wspomnień otworzył młodej dziewczynie serce swoje i wyraził życzenie, które ona prędzej jako obrazę przyjęła, aniżeli jako wyraz przyjaźni i przywiązania. Obawiała się, żeby tak

nie było rzeczywiście, a chociaż miała dobre chęci, myśl, że stała się przyczyną zmartwienia Piotra, czyniła ją niespokojną i nieszczęśliwą.

Gwałtowne to odejście Piotra nie mniej żywo zaniepokoiło rodziców Magdaleny. Ciekawi przyczyny, szukali jej wyjaśnienia u córki, a kiedy się dowiedzieli o wszystkim, jak mogli starali się zaspokoić biedną dziewczynę, zapewniając, iż znajdą sposób objawienia Piotrowi położenie rzeczy, i że bez wątpienia po pierwszej chwili uniesienia, młodzi ci przyjaciele zbliżą się na nowo do siebie z uczuciem spokojniejszym i więcej odpowiednim. Krótko potem nadszedł narzeczony Magdaleny i naturalnie o wszystkim, co było zaszło, dowiedział się z ust młodej dziewczyny.

Pierwsze jego uczucie było to uczucie zazdrości, tak wrodzone ziomkom jego, kiedy się znajdują w podobnych okolicznościach. Tak, zazdrość

obudziła się w nim i nienawiść, ale wnet dobre serce jego i charakter prawy znalazły uniewinienie na wszystko, a sądząc po sobie starał się także przekonać Magdaleny, że zniknie ta nienawiść z serca Piotra, skoro tylko się dowie, że nie mogła przyjąć inaczej afektów jego, jak to była uczyniła rzeczywiście. Ojciec przyrzekł wybrać się sam do chaty Piotrowej, żeby pomówić z wdową i objaśnić synowi stan rzeczy całej. Zaraz też po krótkim wypoczynku, jakiego zwykle używają Włosi po skończonym obiedzie, wybrał się dotamtąd. Kiedy przybył do Piotra, znalazł matkę jego wielce zasmuconą. Chłopak zamknąwszy się u siebie, przesiedział kilka godzin w komorze a nawet jedzenie trzeba mu było wnieść do góry, ponieważ nie chciał się widzieć z nikim. Chwilę przed nadejściem ojca Magdaleny, zeszedł z góry zaopatrzony w karabin, mówiąc do matki iż wypada

mu dotrzymać obietnicy, jaką dał przed kilku dniami, a o której w swoim czasie wspomniał był matce, to jest wybrać się na polowanie ptaszyny w bliskim zagaju, gdzie nań oczekują inni towarzysze; i tak tedy wyszedł.

Oboje zajmwszy miejsce na ławie przed chatą, rozmawiać poczęli o tem, co dopiero było zaszło; wszystko po woli się wyjaśniało, a kiedy wdowa na pewno przyrzekła, iż o wszystkim uwiadomi jedynaka, pożegnali się z sobą spokojni niby na pozór, a jednakże z ukrytą w sercu obawą, czy Piotr wyjaśnieniem sprawy kontentować się będzie i czy wnet ci starzy przyjaciele na nowo dłoń sobie uściskną.

Piotr tymczasem spieszył na miejsce umówione, gdzie miał spotkać innych towarzyszy, żeby z nimi razem popolować godzin kilka. Krew ciągle jeszcze w nim wrzała; nie chciał jednakże uleść uczuciom zemsty, a mianowicie nie chciał żadnej przykrości

sprawić Magdalenie, i o sprawie całej zachować sekret najgłębszy. To tylko przedsięwziął sobie, że będzie o ile możliwości unikał spotkania się z młodą dziewczyną, gdyż sposobność taka zdolna tylko na nowo rozdrażnić ranę. Żeby zaś na ból gwałtowny, który w tej chwili jeszcze był dotkliwy, znaleźć ukojenie, postanowił wykonać to, co był przyrzekł towarzyszom, t. j. zapałem całym zająć się polowaniem. Tak sobie postąpić, to jedyny sposób. Pomyślał sobie, godny człowieka z charakterem, z tem też postanowieniem wybrać się był z chaty. Powoli zbliżał się do oznaczonego punktu; tutaj położywszy się pod drzewem, wyciekiwał z niecierpliwością przyjaciół swoich. Lecz czekał na próżno, nikt nie przychodził. Porwany gniewem powstał z miejsca i począł przechadzać się z jednej strony na drugą, niby żołnierz na odwachu. Kilka osób, które czasami widywał we wsi, przechodziło



drogą, a widząc Piotra tak maszerującego, zatrzymywały się z pewnem zaskiwieniem. — Przykro było chłopakowi, który nie mógł znieść zbytnej tej ciekawości, powtarzać jedno i to samo każdemu z osobna i tłumaczyć cel dziwnego tego przechadzania. Zniechęcony ostatecznie tem wszystkiem, opuścił stanowisko swoje, żeby odszukać miejsca oddalonego troszeczkę od głównej drogi w stronę lasu, gdzie zwykle w upały letnie ukrywała się młodzież wiejska przed żgającym słońcem. W chwili jednakże, kiedy się zbliżał do celu, zdawało mu się, że słyszy głosy ludzkie, a co dziwniejsza, pomiędzy nimi — czyż mógł się mylić — głos Magdaleny, — który przed kilku godzinami ledwie, tyle mu sprawił bólu i gorzkości. Ciekawy, z kimby rozmawiać mogła, starał się o ile możności jak najbliżej podejść niedostrzeżony do miejsca, z którego dochodziły głosy. Ukrywszy

się tedy za gęstym krzakiem, utkwił pomiędzy gałęziami wzrok swój, gniewu pełen i zazdrości, w stronę odpowiednią. Zdawało mu się, że sztylet ktoś mu wpycha do serca, kiedy dokładnie rozpoznał głos tyle mu znany, a co gorsza, kiedy słyszał młodą dziewczynę rozmawiającą swobodnie możnaby nawet mówić wesoło. Nie mógł zrozumieć, że tak prędko zapomnieć mogła krzywdy, podług niego tak wielkiej, którą mu była wyrządziła przed chwilą. Lecz któż to był z nią razem? Sądził nasamprzód, że to ktoś z rodziny; ale kiedy się przekonał, że głos to jakiegoś młodego człowieka, domyślił się, że go oszukano. Bliżej jeszcze podchodząc spostrzegł, że młody ten człowiek nie był kto inny, jak ów stolarz, Jakób Czelný.

— Tak to się rzeczy mają! — pomyślał sobie — a więc woli skrobideskę tego, człowieka na pół garbatego, który ciągle pochylony pracuje heblem

swoim, którego dłoń nigdy nie dotknęła się broni, którego nogi nigdy nie rozruchały się we wiejskich gonitwach!

Myśli tej znieść nie mógł. Czoło jego zasępiło się, gniew wystąpił mu na twarz, a w sercu odezwało się uczucie zemsty.

— Tak, zemścić się muszę, — rzekł sam do siebie, — i to bez zwłoki.

Był on oddalony od młodych ludzi mniej więcej tak daleko, jak dosięga kula karabinowa; lecz na nieszczęście z miejsca, na którym się znajdował, wymierzyć nie mógł, gdyż było to z boku, a Magdalena siedząca z brzegu prawie całkiem zakrywała młodzieńca. Nie mógł zatem mierzyć do Jakóba, żeby równocześnie nie zranić młodej dziewczyny. Tego jednakże mimo gniewu i zawziętości uczynić nie chciał. Wypadało przetoż zmienić stanowisko i to w sposób, żeby nie być dostrzeżonym. Wnet jednakże szelest gałęzi zbudził uwagę Jakóba, który z

przestrachem spojrzął po za siebie. Tej samej chwili Piotr, widząc, że go poznano, z obawy, żeby mu nie wymkła się sposobność, wymierzył, spuszczać jeden i drugi kurek karabinu. Jakób nieżywy zesunął się na murawę, nie wydając ani słowa skargi; kula przeszła mu serce. Natomiast krzyk przeraźliwy, jaki się wyrwał z piersi Magdaleny, przyciągnął do siebie Piotra, który nie wątpił o tem, że pochodzi on jedynie z trwogi i przerażenia. — Tymczasem, nie! — I ona odebrała ranę śmiertelną; kula przeszła na wylot. Tak tedy widział ową dziewczynę, którą był gotów pokochać całym sercem tego samego poranku, w tej chwili wijącą się u stóp jego w pośród najokropniejszych boleści, — konającą, i to z jego winy, chociaż nie z jego woli. Stał na miejscu jakoby skamieniały chwilę całą, nie wiedząc co począć, dokąd iść, ani jak pomódz biednej Magdalenie? Wre-

szcie, ocuciwszy się z odrętwienia, podniósł nieszczęśliwą dziewczynę, która w ostatnich już znajdowała się drganiach i złożył ją jak mógł najwygodniej na murawie. Nie śmiał przemówić do niej, bo zdawało mu się, że ona coś jeszcze chciała mu powiedzieć; lecz prócz słów: „Jezus Marya!” jakie wyrzekła, nic innego wyrozumieć nie zdołał. Po chwili okropnego konania skłoniła się na stronę — i zgasła na wieki.

Biedny, nieszczęśliwy Piotr! O ileż położenie jego więcej było pożałowania godne, aniżeli los tych, którym tak okrutnym sposobem był wydarł życie. — Patrząc na te ofiary gniewu i zazdrości swojej, zanurzył się głęboko w boleści, bo czuł w sumieniu swoim wyrzuty, a tą razą pewnie szczerze i prawdziwie. — Strach dotąd nieznanym przejął go całego; zadrzał, słuchając owe jakby wzdychania wiatru, a umysł jego dotąd

odważny i śmiały, pierwszy raz w życiu pewnie zezwolił na myśli trwożliwe i pełne obawy. Czuł, że uciekać mu wypada. I trzeba było widzieć owego chłopaka przed chwilą jeszcze nie ustępującego nikomu, jak uciekał niby dezenter jaki, ile mu tylko nóg starczyło, z umysłem niespokojnym, z wejrzeniem dzikiem i roztargnionem. Od czasu do czasu zwracał wzrok swój w stronę występku, oglądając się z bojaźni na wszystkie strony. Tym sposobem co raz głębiej tonął w lesie; lecz nie mogąc ani chcąc w nim pozostać na zawsze, zmienił kierunek, wchodząc na wązką drożynę, która kręcąc się co chwila, wyprowadziła go wreszcie na niziny, jakie się rozciągały pomiędzy lasem a górami. Nikt go nie ścigał, a jednakże chwilami gonił jak niegdyś do mety; zmęczony, chwilami odpoczywał sobie, przykucnąwszy pod szpalerem winnych ogrodów albo w cieniu ~~kręku~~ skąd



— 44 —

szmer niewinnej jaszczurki albo padalca, grzejącego się na słońcu, wyganiał go i skłaniał do dalszej wycieczki, przypominając mu, że posłańcy zemsty uczepli się stóp jego, że nie miną go kajdany, ciemne więzienie, sąd, śmierć na szubienicy a i kara w wieczności.

Postępując wązką ową ścieżką, wypłynął po pewnym czasie na główną drogę, jaka przerzynała dolinę. Tutaj zatrzymał się na chwilę, nie żeby wiedzieć dokąd idzie, bo o to mu nie chodziło wcale, lecz żeby się przekonać, czy oddala się od tych, których cienia zdawały się ścigać go wszędzie. Rozpatrzywszy się należycie, opuścił drogę główną, pędząc wprost przez łąki, ścierniska i trzcinę, aż doszedł do rowu dość szerokiego, przez który koniecznie przeprawić się wypadało. Bez namysłu, karabin trzymając ponad głową, rzucił się w wodę, raz płynąc, raz brnąc, aż osiągnął brzeg przeciwny.

— 45 —

Noc powoli czarnym całunem pokrywać poczęła ziemię, lecz nie wiele się troszczył o to. Dręczony wyrzutami, popychany strachem szedł coraz dalej, i tak spędził noc całą. Kiedy dzień świtać począł, dawno już był przebył dolinę, chociaż szeroką, i znajdował się znowu na wązkiej ścieżce, która jakby w tym samym ciągnęła się kierunku, jakim już postępował przedtem, nie wiedząc, dokąd go prowadziła. Po kilku gzyzszakach ścieżka ta w prostej linii snuła się przez dolinę, stając coraz przykrzejszą w miarę, o ile się zbliżała do skalistego podnóża tuż wznoszących się gór niebotycznych. W chwili kiedy słońce czerwona w łuną z za gór wyglądać poczyniło, doszedł był Piotr do miejsca, gdzie już nie dopatrzeć się, ani śladu ręcznego wózka, ani nawet znaku stopy ludzkiej: ścieżka prawie zupełnie niknęła w gruzach, jakie pewnie od

potopu powoli toczyły się z góry, oderwane kapryśnym wiatrem od skały.

Noc całą deszcz padał ulewny; ale biedny Piotr zanurzony w myślach czarnych i posepnych, ledwie że wiedział coś o tem. Niekiedy wracał myślą do owych dni niewinnej młodości, przypominając sobie z kolei najprzód chwile szczęścia, spędzone w towarzystwie ukochanego dziewczęcia, później obojętność swoją, która oziębiła zupełnie serce Magdaleny, a wreszcie ów sposób, którego użył, żeby na zawsze odepchnąć ją od siebie. Niekiedy zdawało mu się, że byłby gotów dać życie swoje za nią; to znowu utrzymywał, że zasłużyła sobie na los podobny, skoro się nie umiała obejść inaczej z tym, który ją kochał od tak dawnego czasu. Potem przychodził mu na myśl przeciwnik jego, ów chłopak, którego miał intencją na tamten świat wysłać; a jeżeli zemsta w pierwszej chwili przyjemną i słodką mu się wy-

dawała, to całe to zajście teraz sprawiało mu męki straszne i wywoływało w duszy jego wstręt niewypowiedziany. Jakżeż mógł mieć odwagę popełnić podobną zbrodnię? Cóż za okrucieństwo, wysłać kogoś w jednym oka mgnieniu bez przygotowania, bez spowiedzi na tamten świat! Może podobny los i jego spotka kiedyś? — Cóżby się stało z nim, gdyby grom przedzierający w tej chwili ze zwykłą sobie szybkością gęstą atmosferę na ciemnym widnokregu, jaki się wznosił tuż przed nim, spadł na głowę jego jako wysłaniec gniewu i zemsty? Cóżby się stało z nim, gdyby huk gromu który w bliskości jego uderzył, był dla niego trąbą powołującą go na sąd niezwłoczny? Myśli te tak gwałtownie i z taką siłą zawładły sercem jego że padł na ziemię prawie bez przytomności słaby jak dziecko, niby tknięty paralizem. Kiedy minęła burza, powstał z miejsca, i chociaż osłabiony nad-

zwyczajnie, zabrał się do dalszej podróży. Wreszcie ukazały się pierwsze zorza; wspaniale i z tryumfem weszło słońce, odnawiając życie natury, życie z wszystkimi radościami pierwszej młodości, wszystko ubierając w szaty świąteczne kolorów najżywszych i najświetniejszych. — Lecz jakaż zachodziła różnica pomiędzy tą sceną tak wspaniałą a usposobieniem obecnem (biednego) nieszczęśliwego! To światło, które dla całego stworzenia było przyczyną wesela i szczęścia, było dlań źródłem nowej obawy, nowego strapienia. W ciemności łatwiej mu było się ukryć przed nieprzyjacielem, teraz natomiast lada kto pochwycić go mógł i oddać w ręce sprawiedliwości; a myśl ta nowym bólem ścisnęła mu serce. Ów wietrzyk ranny, tak n.ily, przyjemny, — mianowicie po owej dusznej atmosferze, jaką wypełnione powietrze przed burzą, — pobudzający ptaszynę do śpiewu dzięk-

czynienia, pomnażał tylko strach nieszczęśliwego Piotra, który okryty pyłem powoli już tylko postępował, cierpiąc od zimna i zmęczenia. A ile razy wietrzyk ten zaświstał pomiędzy ciasnemi szczybami i głębokimi kryjówkami skalistego wzgórza, wstrząsał on każdą razą duszą zbrodniarza, któremu się zdawało, że słyszy za sobą hasło ścigających.

Ścieżka, którą postępował dotąd, nie zdradzała żadnego śladu; jednakże dla pewności postanowił ją opuścić, żeby się z nikim nie spotkać.

Odtąd począł się skrabać z jednej skały na drugą, chcąc o ile możności podejść jak najwyżej, a to w jak najkrótszym czasie. Wielkich do tego potrzeba było wysilań, a chociaż czuł potrzebę spoczynku i pożywienia, jednakże obawa, iż ciągle jeszcze znajduje się w niebezpieczeństwie, i strach przed pościgiem, nie pozwalały mu zastanawiać się długo nad



tem, co było zaszło, tylko wzniecały chęć wyzwolenia się czemprędzej z obecnego położenia. Po kilkugodzin-  
nem wysileniu doskrabął się wreszcie do wysoku jakiegoś, który w rodza-  
ju obręczy obejmował prostopadłą ska-  
łę, właśnie tak szeroki, że można było  
na nim swobodnie oprzeć nogę. Obręcz  
ta jednakże w miarę jak się wznosi-  
ła skała, wiodąc również wyżej, na  
nieszczęście coraz stawała się  
węższą. Piotr oparty nogami o obręcz,  
twarzą o prostopadłą skałę, żeby nie  
stracić równowagi, chwycił się ręko-  
ma czego mógł; to reszty suchego  
krzaka, to szczyby jakiej, to malucz-  
kich wysokoków, jakie tu i owdzie  
sterczały na ścianie skalistej. Chociaż  
nie był góralem, ćwiczenia podobne  
nie zupełnie mu były obce; od mło-  
dości bowiem lubił skrabać się na  
drzewa i mniejsze góry. Kochał nie-  
bezpieczeństwo z miłości dla niebez-  
pieczeństwa, inaczej też nie byłby

mógł długo utrzymać się w pozycji,  
w jakiej się znajdował w tej chwili.  
Było to nierozwagą zapuszczać się aż  
dotąd; ale najprzód nie wydawało to  
się od razu tak niebezpiecznym, jak  
było rzeczywiście, a później Piotr nie  
widział przed sobą innego wyboru, jak  
postępować wyżej, albo spuścić się  
na dół miejscami może trudniejszemi  
jeszcze, żeby ostatecznie znaleźć szczyt  
jaki podobny do obecnego. Na osta-  
tnie zdecydować się nie mógł, gdyż  
trudniej jest schodzić jak podchodzić  
w górach, a nadto obawiał się wpaść  
w ręce nieprzyjaciół. Obręcz jednakże  
coraz to więcej zwężała się, aż na-  
reszcie ugrzązła w skale. Piotr znaj-  
dował się rzeczywiście w krytycznym  
położeniu; widział, że nie zostawało  
mu jak wrócić tą samą drogą na dół.  
Z przerażeniem pomyślał o tem, jak  
daleko cofaćby się musiał, żeby od-  
naleźć najmniejszy ślad ścieżki jakiej.

W tej chwili rozpaczy taka mu myśl przysła do serca:

—Czyż nie wpadnę tym sposobem w ręce tych, którzy są chciwi krwi mojej? — Bóg pozwolił mi dojść aż dotąd, a nie miałby dopuścić, żebym szedł dalej?

Nie wiedział doprawdy, co począć; okiem rzucał na wszystkie strony, z największą jednakże ostrożnością, żeby nie stracić równowagi; i tak patrzył na dół, mierząc okiem przepaść ogromną, jaka się otwierała pod nim, i licząc wysokość, jaka go oddzielała od dna odmetu. Tuż pod stopami jego tworzyła skała jakąś wklęsłość; był on przetoż zawieszony jak w powietrzu. Niżej zaś, w pewnej już odległości, dno wyrwy ze strony, po której się znajdował, wypełnione było szarawemi okruchami skał, które czas odrywał, niekiedy, żeby przerwać głębokie i ponure milczenie, którego nikt inny przerywać nie śmiał. Głębiej

jeszcze płynął ruczaj jakiś, gwałtowniejszy dzisiaj wskutek ulewnego deszczu, ale już z trudnością tylko dający się dopatrzyć dla ciemnawej i mglistej przestrzeni, jaka go oddzielała od nieszczęśliwego. Podniósł oczy swoje w górę, ale i tu nie widział sposobu wydobycia się z tej trudnej pozycyi. Maluczki jakiś garb sterczał na skale, nie zbyt wprawdzie oddalony od niego, ale zanadto daleki, żeby go dosięgnąć. Tuż ponad nim jakby na przekórę zatrzepał skrzydłami kruk, patrzący się z ciekawością na tak rzadkiego przybysza; ale zamiast okazać sympatją dla kogoś, który jak nasz Piotr znajdował się w strapieniu, drapieżny ten ptak okiem zimnem i nieczułem jakby dla tego tylko spoglądał na nieszczęśliwego, że był pewny, iż przed wieczorem jeszcze utopi dziób i pazury swoje w ciele młodego awanturnika. Piotr zadrzał widząc ptaka tego; przytomność umysłu powoli go opu-

szczała, a myśli rozpaczliwe miotać nim poczęły. Czyż nie lepiej umrzeć w tej otchłani, albo rozbić się o twarłą skałę, tak perswadował mu czart kusiciel, aniżeli dostać się w ręce sprawiedliwości i zginać wyrokiem publicznym? — Lecz w tej samej prawie chwili przysły mu na pamięć słowa ostatnie dziada jego: — Nie rozpaczaj, nie rozpaczaj nigdy! a wspomnienie to zachowało go od samobójstwa. Tymczasem siły jego fizyczne i moralne tak już były nadwreżone, że nie mógł długo się utrzymać na miejscu, już oczy jego mgłą zachodzić, nogi pod nim zginać się poczynają; tylko chwileczkę jeszcze, a byłby bez wątpienia zsunął się w ciemną przepaść, — kiedy niespodzianie odzyskał wszystkie zmysły, czując się pochwyconym za kołnierz kaftana i zamiast zrzuconym do dna otchłani, gwałtem uniesionym w górę.

Zostawiając wyjaśnienie zupełne zdarzenia na później, tutaj wspomniemy tylko, że od pewnej chwili inny kruk czuwał nad głową Piotra, o którym tenże ani marzył. — Dzikie te strome góry służyły rozbójnikom za wygodne i bezpieczne schronienie, a w chwili tej właśnie jaskinia znajdująca się nieco wyżej ponad głową Piotra, czyli ponad miejscem niebezpiecznym, do którego był doszedł, tworzyła kryjówkę dwunastu rozbójników. Jeden z nich, śmiały sobie i zuchwały góral, — który wcześniej już umiał się wyzwolić z pod jarzma posłuszeństwa wobec rodziców i proboszcza swojego, opuściwszy tak skromny a przecież tak pocziwy sposób życia wieśniaczego, ze swywolą rzucił się na wszelkie występki i nadużycia, do jakich prowadzą dzikie namiętności, i dopuścił się był kilka okrutnych zbrodni, jakich niedołężność tamtejszego rządu należycie ukarać nie była w



stanie, — przyszedł zmienić odwach, wiecznie stojący u wejścia jaskini, w chwili, kiedy Piotr na niebezpieczną skałę skrabać się począł. Widząc, iż coraz więcej zbliżał się do gospody rozbójników, zaniósł czempredzej nowinę naczelnikowi, który stanawszy nad brzegiem skały, za pomocą lornety, którą był ukradł komuś z podróży, z uwagą śledzić począł wszelkie ruchy nieszczęśliwego dezertera. Bez trudności poznał w nim wieśniaka i obcego, który pod względem okupu bez zupełnego pewnie był znaczenia; mógł jednakże być szpiegiem, a dla tego pilnować go wypadało. Rozkazał przetoż, żeby nie spuszczać go z oka, a w razie, gdyby zbytnią jaką okazywał ciekawość albo też pewniejszy jakiś i prostszy obrał do pieczary kierunek, żeby bez miłosierdzia wystawić mu paszport na tamten świat. Przeciwnie zaś, jeżeliby zdawał się błędzić tylko bez ważniejszego

go powodu, któryby ich w jakikolwiek sposób dotykał, dodał, żeby mu pozwolono przechadzać się dalej. Wydawszy rozkazy, naczelnik bandy na nowo znikł w ciemnej i ponurej jaskini, żeby skończyć rozpoczętą fajkę; a Józef, takie było imię rozbójnika, dokładnie zbadawszy podsypkę na panewce, oparł strzelbę o skałę i od czasu do czasu podnosząc ją, spuszczać albo przykładając do ramienia, stósownie do tego, jak się zmieniał kierunek Piotra, gotów był wymierzyć do nieszczęśliwego przy pierwszym ruchu, któryby mu się wydawał dwuznacznym lub nieprzyjaźnym.

Na szczęście, Piotr więcej zajęty innemi myślami aniżeli badaniem gór i okolicy, w której się znajdował, z obojętnością patrzący się na wszystko, co go otaczało, postępował dalej raz obraną drogą, ani spoglądając po za siebie ani też zatrzymując się na chwilę, żeby podziwiać cudowny wschód

słońca, lub popatrzeć się z upodobaniem na owe widoki tak piękne i rzadkie, na skały i góry, które z dumą spoglądały na niego, przyozdobione u skroni w purpurowy wieniec pierwszych promieni słonecznych. Szedł coraz dalej, nie zważając na nic, ani się przypatrując komukolwiek, a to właśnie wybawiło go od śmierci. Jedną tylko chwilą krytyczną dla niego była wtenczas, kiedy zaszedł do pewnej skały szerokiej, jakby w formie czworoboku, znajdującej się w połowie drogi prowadzącej do szczytu; zatrzymał się na chwilkę, widząc dwie nowe ścieżki przed sobą, obie w przeciwną prowadzące stronę. W tej chwili już był Józef strzelbę przymierzył, a gdyby Anioł Stróż Piotra nie był mu podał wyboru, i zamiast na prawo, nie skłonił go zwrócić się na lewo, cyngiel strzelby byłby się spuścił, kula byłaby mu przeszła serce. Zwróciwszy się w tę stronę, okazał,

że nie był czem innym jak zwykłym włóczęgą, gdyż ścieżka, którą wybrał, nie prowadziła gdzieindziej, jak do owej przepaści, z której go wyrwała silna dłoń rozbójnika. Józef, zdolen w innych razach do największych zbrodni, skoro tylko ktoś rozbudził w nim namiętność albo kiedy chodziło o własne życie i własne przyjemności, ale nie posiadający odwagi spełnienia występku z zimną krwią i tak bez przyczyny, spuścił strzelbę na ziemię i z pewną troskliwością począł zajmować się życiem, które codopiero był gotów wygasić. Wiedział on dobrze, gdzie wychodziła ścieżka, którą Piotr był obrał; nie było dlań również tajemnicą, że rąbek ten nie zbyt szeroki u początku coraz więcej się zwężył, aż zeszedł zupełnie w skałę, był przetoż w obawie, jak sobie postąpić. Wołać i ostrzedz o niebezpieczeństwie, nie mógł, gdyż musiałby się pokazać obcemu w swem ubraniu rozbójnika,

a tem samem wystawić na hazard swoje i kolegów swych bezpieczeństwo. Z drugiej strony chciałby chętnie uratować życie biednemu chłopakowi, który, o ile mu się zdawało, wcale nie miał złej miny. Zresztą, przypatrzwszy mu się bliżej, kiedy widział jak był zmęczony, zgłodniały i przemokły do nitki, przypomniał sobie własną przeszłość, a wspomnienie to powiększyło w nim uczucie litości i opieki nad biednym. Opuściwszy tedy miejsce na którem stał na czatach od pewnej chwili, spuścił się ze szczytu skały stóp kilkadziesiąt na dół, tak iż znajdował się tuż nad głową Piotra i to właśnie na czas, żeby go pochwycić za kołnierz, kiedy tenże straciwszy prawie przytomność i rozważę powoli pochylał się ku czarnej przepaści.

Józef był to mężczyzna, którego konstytucya i nerwy w skutek życia wystawionego na wszelkie zmiany po-

wietrza w okolicach górzystych, tak były zahartowane i silne, że ze stanowiska, w jakim się znajdował, gdyby dobrze i zręcznie mógł pochwycić, byłby zdołał unieść młodego wołu tak samo, jak uniósł bezprzytomnego Piotra. Na szczęście znajdował się małuczki wyskok w skale, o który oparł się mocno nogami, i tak, kiedy jedną ręką trzymał Piotra, drugą przyłożył piszczałkę do ust, żeby zwołać do pomocy kogoś z towarzyszków swoich. Natychmiast przyszło ich kilku, którzy założywszy powróż o nogi Piotra, czempředzej wciągnęli go na powierzchnią skały a ztamtąd zanieśli do jaskini.

Piotr nic nie widział ani słyszał; jak przez sen tylko zdawało mu się, że zamiast spadać, unosi się w górę; a bezprzytomność ta wyszła mu na dobre, gdyż naczelnik rozbójników w chwili, kiedy go przyniesiono, wcale nie znajdował się w różowym humo-



rze. Myślał on najprzód usłyszeć wystrzał karabinu i nowinę, że sprzątnięto zuchwalca; później świst piszczałki, domagający się pomocy, kazał mu przypuszczać, że dla tej lub owej przyczyny Józef stojący na odwachu uważał za bezpieczniejsze pozbyć się nieroztropnego śmiałka po cichu, strącając go do otchłani; lecz ani wystawić mógł sobie, żeby śmiano mu przynieść do jaskini człowieka żywego i nietkniętego nawet. Cóż za pożytek może być z niego? pomyślał sobie; przecież nie ma potrzeby powiększać gromady, nawet wtenczas, gdyby przybysz ten okazał chęć przystąpienia do ich groma; nie miał także pieniędzy, ani też zdawało się prawdopodobnem, żeby miał przyjaciół, którzyby gotowi byli stósowny dać za niego okup. Myśląc o tem wszystkim, tak się rozwścieklił w gniewie swoim, iż rozkazał rozbójnikom wyprowadzić go natychmiast i zepchnąć

ze skały do strasznej przepaści. Lecz rozkaz ten, wydany bez zapytania się o radę innych, został bez skutku. W chwili, kiedy wniesiono Piotra, rozbójnicy opuścili swe butelki z winem i karty, i otoczyli go kołem; chociaż miał oczy zamknięte, a włosy spadające i lepiące się od deszczu i śmiertelnego potu na sinawych od zimna licach prawie do połowy oblicze jego zakrywały, rysy twarzy jednak tak regularne i pięknie ułożone, nie zostały bez wrażenia na lepiej usposobionych pomiędzy nimi.

Podziwiano wzrost jego, który za pomocą ćwiczeń, jakie wymagały siły i zręczności wzmacniając muskuly, nabrał harmonijnych proporcji, które stanowią piękność męską; to też niektórzy z rozbójników odezwali się:

— Z pewnością myśmy go gdzie już widzieli! Któż on jest? I już byli bliscy odgadnienia tajemnicy, kiedy naczelnik, nie tyle ciekawy o szcze-

góły, wydał ów rozkaz okrutny. Popatrzyli się na ów potwór na pół z obrzydliwością, lecz żaden z nich nie zabierał się do wykonania rozkazu.

Naczelnik widząc, iż nie zdoła ich nakłonić do posłuszeństwa, spojrział na gromadę swym wzrokiem pogardy i gniewu, jakim patrzy potępieniec na tych, którzy mniej są złośliwi od niego, i ukrył się w głąb jaskini zamroczony i milczący, żeby nałożyć nową fajkę.

Okrucieństwo i zwierzęce prawie uczucia tego człowieka od dawna już gorszyły towarzyszków jego, a chociaż odwaga jego osobista nie małym dla nich była bodźcem i zachętą, przeciw władza jego despotyczna i absolutna, z jaką nimi rządził zawsze, wyjąwszy kiedy dowodził wyprawą, coraz to większe i ogólniejsze wywoływała niezadowolenie i opór. Ani jeden nie pomyślał o wykonaniu okrutnego rozkazu, a gdyby był się uparł na swo-

jem, byłby pewnie był zniewolonym, sam to uczynić; lecz, jeżeli nie znalazł współdziałalności ani posłuszeństwa u towarzyszków, to z drugiej strony nie byłby pewnie napotkał trudności żadnej i przeszkody w wykonaniu strasznej zbrodni. Jeżeli sami uczuli odrzę popelnienia podobnego występkę, nie byliby oni śmieli sprzeciwić się naczelnikowi, uważając u niego czyn ten za zadośćuczynienie kaprysowi, — wprawdzie grzesznemu, ale tylko kaprysowi. Lecz lot myśli i uczuć naczelnika, obrażonego nieposłuszeństwem, w inną zwrócił się stronę. Nie myślał on już o Piotrze — już go nie widział — zapomniał, że obcy ktoś znajduje się w jaskini, — nie czuł jak zniewagi i poniżenia. Umysł jego nie zajmował się niczem, jak wynalezieniem sposobu i odpowiedniej pory na zemstę, którą przysiągł podwładnym swoim. — Piotr wnet uzyskał przytomność, otworzył oczy,

usiadł i począł rozglądać się na wszystkie strony. W tej samej chwili Józef i inny któryś z rozbójników poznali w nim tego, który został zwyciężoną dwa czy trzy razy, kiedy z okazji święta jakiegoś bawiono się strzelaniem do tarczy we wsi sąsiedniej, dokąd od czasu do czasu wybierać się mieli zwyczaj, żeby pokazać zręczność swoją, — całą przyczyna, która niekiedy wyprowadziła ich z nudnego i jednostajnego ukrycia. Nazwali go po imieniu; zdziwił się tem nie mało: zapytał gdzie się znajduje, a kiedy usłyszał ich odpowiedź, opowiedział im wkrótce wszystko, co było zaszło, kończąc na tem, jak rozpaczony położeniem, do połowy utraciwszy zmysły, myślał stoczyć się do okropnej przepaści. Opowiadanie to bardzo ich zajmowało, gdyż mniej więcej podobne ono było do zajęć, jakich każdy z nich we własnem doświadczył był życiu. Ale kiedy skoń-

czył, na nowo powstała trudność, co z nim uczynić i gdzie go umieścić. Odmówili byli posłuszeństwa naczelnikowi, który bez namysłu kazał wysłać go na tamten świat, a większą jeszcze uczuli odrazę postąpienia sobie z nim w ten sposób od chwili, kiedy go poznali i posłuchali. Wszelakoż niebezpiecznie było, wypuścić go na wolność, z drugiej strony niepodobna było trzymać go dłużej — nawet, gdyby był zechciał — bez pozwolenia naczelnika, którego zapytać się o to nikt nie czuł odwagi, a zresztą wszyscy liczyli na niekorzystną odpowiedź. Wreszcie któryś z rozbójników, przekonany, iż nie ma innej rady, zwrócił się ku naczelnikowi, zapytując, czy w razie gdyby młody ten człowiek okazał chęć pozostania z nimi, złożył zwykłą przysięgę, mógłby być przyjętym do gromady. Odpowiedź była gniewu pełna i nie bardzo pomysłna.



— Już was za wiele! — odrzekł, — zresztą zróbcie, jak wam się będzie podobało, tak myślę; lecz pamiętajcie, że odpowiecie za skutki! Odebrawszy odpowiedź, która chociaż nie bardzo łaskawa, zostawiała im jednakże wolność działania, zapytali Piotra co woli, czy żyć z nimi, czy skoczyć do przepaści? Dodali również, iż przykro im bardzo, że nie zdolni mu podać innego wyboru, a chcąc go skłonić do pozostania z nimi, zapewniali Piotra, iż chociaż kilka już w życiu zdarzyło im się popełnić zbrodni, to jednakże nie są oni znowu tak chciwi krwi ludzkiej i nie czynią niczego z samej tylko miłości dla występku — w rzeczy samej było to prawdą — lecz będąc jak wyrzuceni z towarzystwa i skazani żyć w samotności, obrali to życie rozbójnicze, pełni jednakże nadziei, że kiedyś znajdą po drodze kapłana, który ich wysłucha spowiedzi i da rozgrzeszenie przed śmiercią.

Słowa te może nie zupełnie szczerze, u niektórych z nich — chociaż trudno sądzić w tym względzie, gdyż w sercu Włocha prawdy wiary i wspomnienie młodości tak są głęboko ukryte w sercu, iż mimo grzesznego życia, zawsze coś jeszcze zostaje w duszy, a to coś często prowadzi do skruchy i nawrócenia się, — lecz, czy rzeczywiście mówili z serca lub nie, w każdym razie słowa te korzystne wywarły wrażenie na umyśle Piotra. W istocie wobec tak trudnych okoliczności, w jakich się znajdował, teraz, kiedy już niczego nie mógł się spodziewać, — nawet gdyby go wypuszczono na wolność, jak śmierci z głodu albo z rąk sprawiedliwości, potrzeba było innych daleko wyższych i silniejszych zasad, jak te, które posiadał, żeby odmówić przyłączenia się do nich i zostania za ich przykładem rozbójnikiem. To też odrzekł im, iż wiedział dobrze, jak twarde i niewy-

godne prowadzili życie, życie, którego nigdy nie myślał obierać. Dodając, iż, kiedy pomyślał z zimną krwią i zastanowieniem o zabójstwach i okrucieństwach, jakich się dopuszczali, nie mógł wyznać, żeby był gotów do czynienia tak samo, lecz, że rzeczywiście nie widział innego wyjścia jak to, żeby przystąpić do ich gromady. W tej jego odpowiedzi wiele było goryczy, i uczuć było można odrazę do sposobu życia, jakie odtąd przybrać sobie postanowił, tak iż rozbójnicy nie bardzo zadowoleni z podobnej delikatności uczuć i niepotrzebnych objaśnień, już prawie żałować poczynali zbytniej łagodności, jaką mu okazywali.

Lecz zapął i szczerłość widoczna, z jaką ich zapewniał, iż w jakichbądź okolicznościach, nigdy nie zapomni o tem, że im zawdzięcza życie, a wdzięczność tę im zawsze zachowa w sercu, a nadto przyrzeczenie, że nigdy ani słowem ani znakiem najmniejszym ich

nie zdradzi, zaspokoili na nowo gorące umysły. Czempredzej przyniesiono ze spiżarni, która tego dnia nie źle była zaopatrzoną, rozmaite rzeczy i zastawiono takowe przed nieszczęśliwym chłopcem. Nadto wytoczono z kąta beczkę wina, którą w wigilią samą gdzieś udało im się sprzątnąć w sąsiedztwie i z rezolutną szczerością i prawdziwą życzliwością poczęto popijać do spragnionego i zgłodniałego Piotra. Przyjął on też jedno i drugie z rozkoszą. Dogadywali mu, żeby sobie niczego nie żałował, nadto, żeby mu uprzyjemnić pierwszy pobyt pomiędzy nimi, poczęli śpiewać piosenki swoje, opowiadać rozmaite historyjki, wspominając o niebezpieczeństwach, jakim byli się wymkli, o zrzeczności i sile swojej, a to wszystko tak zajmująco, że Piotr mimo nieszczęścia swego, nie zadługo odzyskał wesołość i humor; z kolei także coś zaśpiewał i jakoś coraz więcej dochodził do prze-

konania, że rozbójnicy nie zasługują wcale na owe oszczerstwa i obelgi, jakie im się zwykle dostają w udziale, że owszem najpocziwsi to i najlepsi ludzie.

Naczelnik natomiast rozmyślał coś — ponury i zachmurzony, jak przedtem. Siedząc sobie w pewnym oddaleniu od bawiących się, nie odzywał się wcale, ani też zabierał do jedzenia. W końcu zerwał się gwałtownie, porwał butelkę wina, świeżo odkorkowaną, przyłożył do ust, wychylił do kropli i głosem rozkazującym zawołał:

— Czas skończyć biesiadę! bez pracy nie masz kołaczy! zatem każdy na swoje stanowisko!

Ledwie wydał rozkazy, zaraz gromada prawie cała się rozeszła; kilku tylko pozostało, żeby czuwać nad Piotrem, który cichaczem mógłby był się ulotnić i pięknego jakiego poranku wrócić w towarzystwie policji rządowej. Sam sobie zostawiony Piotr

wnet uczuł skutki wysilenia, na jakie był skazany od chwili nieszczęśliwego zajścia, jak również skutki uczy, w której troszeczkę się był zaponiiał. Wyciągnąwszy się na ławie, na której przed chwilą siedzieli towarzysze jego, i położywszy ręce pod głowę usnął snem twardym i głębokim. Silne chrapanie jego przekonało rozbójnika, któremu szczególnie powierzono obcego, że czuwanie jego na chwilę zbyt ciężkie, to też chcąc odetchnąć świeżem powietrzem, opuścił jaskinię wilgotną, pełną dymu i wyziewów najrozmaitszych, jakie się zostają po obfitej uczcie.

Ognista kula zachodzącego słońca szybko spuszczała się za góry; chłód wieczorny powoli zawiewać poczynał. Mimo tej temperatury nieco zimnej, która we Włoszech o ile że w okamgnieniu się zmienia, tem jest dotkliwszą, wołał on oddychać powietrzem na dworze, aniżeli znajdować się w



zatrutej i gęstej atmosferze, jaką napelniona była pieczara. Zresztą nie żałował postanowienia swego; wnet bowiem ze strony południa ciepły wietrzyk powiewać począł, który temperaturę znacznie uczynił łagodniejszą. Noc zwyczajnym trybem powoli nadchodzić poczyniała; ręka Opatrzności, niby złotym piaskiem, wysypała gwiazdami firmament niebieski; z tych gwiazd jedne zostawały na miejscu, drugie się ruszały, postępując przez prawo odwieczne wskazaną sobie drogą, a wszystko razem czuwając spokojnem i nie rażącym światłem swoim nad głowami w śnie pogrążonej ludzkości, zdawały się z kolei śpiewać chwałę Panu wtenczas, kiedy ludzkie zamilkły usta. Towarzysze rozbójnika porozpraszani byli tu i owdzie w pewnym oddaleniu; znajdował on się sam. Lecz mało go to obchodziło, nie lubił on zanadto towarzystwa. Od niedawnego dopiero czasu należał

do bandy, a sumienie jego dotąd czyste było od większych zbrodni i występków. — Zmuszony przyłączyć się do nich, nieraz rozmyślał nad tem, jak i kiedy najlepiej stąd się wymknąć. Przechadzając się wzdłuż i wszerz przed wejściem jaskini, postawił strzelbę swoją kolbą na ziemię; a oparłszy się o skałę z okiem wzniesionym ku niebu, przechodził myślą wszystkie wspomnienia swoje, jedne miłe i przyjemne, drugie gorzkie i przykre. Lecz dumanie to jego jak na nieszczęście ktoś przerwać musiał; żeby wiedzieć, jakim sposobem, wróćmy do tego, któregośmy spoczywającego zostawili w jaskini.

Spoczynek Piotra, głęboki z początku, stawał się coraz więcej niepokojnym w miarę jak noc postępowała. Skoro bowiem przeszło owe chwilowe odurzenie sprawione zbyt-niem użytkiem trunku, wyrzuty sumienia, na chwilę przygluszone, z tem

większą gwałtownością odzywać się poczęły. Rozmaite sceny i widzenia okrutne snuły się przed wyobraźnią jego. — I jakżeż mogło być inaczej, wobec wrażeń tak świeżych jeszcze; — były to wrażenia zabójstwa i występku. I tak zdawało mu się, że się znajduje w miejscu potępienia, zamknięty razem z innymi, którzy tej samej co on dopuścili się byli zbrodni, a którzy na zawsze już zawarli ugodę z czartem, brodząc coraz głębiej w błocie grzechu i krwi niewinnych ofiar. Za karę, na jaką sobie byli zasłużyli życiem swoim występkiem, skazani byli teraz w piekle powtarzać wieczność całą te same zbrodnie z tą tylko różnicą, że ofiary już nie cierpiały. — A myśli te i wspomnienia odnawiane w ten sposób były jedynem, co im pozostało z przeszłości.

U sklepienia jaskini w pośrodku wisiała lampa, jedyne światło, które słabem promieniem oświecało zaledwie

najgłośniejszą część pieczary, zostawiając w ciemności prawie miejsce, na którym spoczywał nieszczęśliwy chłopiec. Zdawało mu się, że ktoś patrzy na niego okiem przenikliwym a obojętnem na cierpienia, na jakie skazani byli zbrodniarze. W około siebie widzi gromady rozbójników, którzy zbratani z zbrodnią, z szyderczą złością, chociaż obojętnie, zdawali się pokutować za grzechy; a obojętność ta tak sprzeczna z sercem i uczuciem ludzkim, jakżeż nieznośną i przykrą wydawała się Piotrowi, którego i w tym stanie rozmarzenia nie przestały trapić wyrzuty sumienia. Wreszcie pomiędzy pokutującymi spozstrzega, bliżej jakby światła, postać niewieścią, wychudłą, która pochylając się nad łóżem chorego jakiegoś, czy to męża czy obcego, plyn jakiś dolewa do napoju, który potem podaje cierpiącemu. Usta jej szepcą słodkie jakieś wyrazy, ale głos jej zimny jakiś

i lodowaty. — Chory wychyla po kropli z czary, jaką mu podaje tajemnicza niewiasta, a oczy teje czarne iskrzące zapalają się raptem szatańską jakąś radością, która niekiedy zabłysła na twarzy zdrajcy albo tego, który po długim czasie zemstą się nasycił. W okamgnieniu znikła postać ludzka oznaczająca pokusę i służącą czartowi jedynie na łatwiejsze wykonanie piekielnych zamiarów. Scena ta ostatnia do tego stopnia przeraziła biednego Piotra, iż zerwał się z ławki na pół jeszcze we śnie i postąpił kroków kilka, taczając się z jednej strony na drugą. Lecz zbyt świeży jeszcze był skutek biesiady, żeby mógł być odzyskać zupełną przytomność; dla tego uczyniwszy kroków kilka, na nowo zniewolony był się położyć, ale nie już na ławie, tylko na wilgotnej posadzce jaskini. Chociaż na chwilę przerwał marzenia swoje, wnet jednakże powróciły one

bodaj straszniejsze jeszcze, aniżeli przedtem. Tą razą, nie patrzył on się na katusze innych, ale widział własną swoją karę. Ow bór, przylegający do rodzinnej wioski jego, który znał wzdłuż i wszerz przebiegając go tyle razy w życiu swoim, staje przed wyobraźnią jego. Dochodzi on doń jak owego dnia nieszczęsnego, zbliża się do krzaków i jak wtenczas słyszy dolatujące go głosy ludzkie.

Słucha — o zgrozo! Jeden z tych głosów to głos dziewczyny, którą kochał, głos drugi natomiast mu obcy i nieznan. Zbliża się tedy do miejsca, przesuając się pomiędzy krzakami — widzi, poznaje i porwany radością, gniewem gotuje się do zabójstwa. Tymczasem osoby, które podszedł zniecka, zbudzone szelestem gałęzi, zwracają się w stronę, gdzie szelestu tego myślą odkryć przyczynę; lecz w tej samej chwili on wypala, — zabija swego rywala, a z nim razem tę, któ-



ra miał intencją ocalić. Widzi tedy biedną dziewczynę tarzającą się po ziemi z krzykiem boleści na ustach, widzi jak powoli słabnieje, umiera, aż ostatecznie bez duszy nieruchoma zostaje na wygodnej murawie. Uczucia marzącego w tej chwili są te same, jakie były w chwili popełnienia zabójstwa. Pełen rozpacz i przerażenia porywa się przetoż z miejsca, na którym spoczywał, poczyna wokół kręcić się po jaskini, aż ostatecznie dochodzi do wyjścia, wypada niby z procy, żeby rzucić się do przepaści i utonąć od razu w owej straszliwej wieczności, którą widział we śnie swoim. Lecz rozbójnik stojący na straży, chociaż zadumany i zatopiony we wspomnieniach przeszłości, zbudził się jednakże natychmiast, słysząc łoskot jakiegoś w jaskini a za chwilę wyskakującego z niej Piotra; a sądząc, że na dobre umykać myśli, uderzył biednego chłopca silnie kolbą strzelby swojej

tak, iż tenże od razu wywalił się na ziemię. Uderzenie to tak było gwałtowne, iż Piotr zupełnie odszedł od zmysłów. Jak nieżywego zaniesiono do jaskini, gdzie któryś z rozbójników z zgrabnością, cyrulikom właściwą, upuścił mu krwi, żeby tym sposobem przywrócić mu przytomność. Widocznie nie zły to był pomysł, gdyż w rzeczy samej chłopiec na chwilę przyszedł do siebie, ale na chwilę tylko, popadł bowiem w chorobę, z której nie tak prędko miał się wyleczyć.

Naczelnik bandy i towarzysze jego wrócili dnia następnego z wyprawy. Liczba ich zrosła się znacznie, przewidziona ręką śmierci, a nadto kilku z nich było ciężko rannych. Wszyscy, wyjąwszy naczelnika, byli tego zadania, że źle ich prowadzono, a czarne podejrzywanie o zdradę poczęły przechodzić umysły gromady. Zdawało im się, że brutalny ten człowiek, podobniejszy do potwora, umyślnie tak

im przewodniczył, żeby zemścić się za występki, jakiego się byli dopuścili wobec niego dnia poprzedniego, nie wykonując od razu rozkazu jego, to jest nie strącając Piotra do przepaści, występki, który on nazywał buntem i grubym nieposłuszeństwem. Niezwykła strata, jaką w wyprawie tej ponieśli, podwoiła staranność ich około Piotra, żeby czempredzej choć jedną z nich zapełnić próżnią. Po niejakiem czasie gorączka ustąpiła, a chociaż słaby jeszcze nadzwyczaj, począł jednakże chłopiec już wychodzić na powietrze, a powoli także i siły dawniejsze powracać się zdawały. Co do stanu umysłu, jaki trwał przez cały bieg choroby jego, to nie mógł zdać sobie sprawozdania. Ze wszystkiego zostało mu się tylko to wrażenie, że był krwawym i okrutnym zabójcą, a myśl ta chociaż w gorączce była mu prawie zawsze przytomną. Nie raz przychodziły mu myśli rozpaczliwe

do głowy; czart szeptać mu począł, że wszystko już stracone dla niego i że to, co jeszcze dobrego mógłby uczynić na ziemi, nie zmieni bynajmniej losu, jaki sobie zgotował zbrodnią popełnioną. Lecz skutkiem miłosierdzia boskiego słowa dziada jego w chwilach tak strasznej pokusy przychodziły mu na pamięć, a na wspomnienie to Piotr, który zresztą widział dobrze, że nie takim jeszcze jest zbrodniarzem jak ci, którzy go otaczali, gorąco i z serca całego zabierał się do modlitwy, prosząc, żeby jeżeli ktoś jest w niebie, któryby się nim biednym i jego dołą zajmował, tenże mu wyprosił łaskę, popełnienia jak najmniej zbrodni i sposób wydobycia się na wolność z tego towarzystwa, do którego mimo woli i z pewną odrazą był przystał. Akt ten wiary i ufności nie został bez wysłuchania, jak to zobaczymy później.

Dobre przedsięwzięcia jego i uczucia po każdej takiej modlitwie więcej nabierały siły i energii. Równocześnie i siły fizyczne wracały do normalnego stanu i dawniejsze zdrowie coraz to więcej ustalać się počęło. Rozbójnicy chcąc się przekonać, czy dosyć już silny jest Piotr, żeby mógł z nimi razem opuszczać jaskinię, kazali mu od pewnego czasu wnosić z doliny na górę rozmaite ciężary, jakie im się udało złowić w czasie wyprawy. A kiedy widzieli ostatecznie, że co do sił mierzyłby się mógł z nimi, ułożono się, razem wybrać się na wyprawę, która polegała na tem, żeby napasć powóz jakiegoś bogatego Anglika, który właśnie w tych dniach miał wracać z Neapolu do Rzymu. Dowiedzieli się o tem dokładnie od samego furmana, z którym zawczasu starali zabrać znajomość. Podług jego zapewnienia tedy, powóz miał wyjechać z Neapolu dnia następnego, tak iżby

przejeżdżał w sąsiedztwie rozbójników około wieczora. Piotr nie okazywał ani ochoty ani odrazy, kiedy mu mówiono o wyprawie; wyczekiwanie nie milego zdarzenia uczyniło go więcej milczącym, niż zwykle. Kiedy chwila oznaczona nadeszła, wybrał się razem z Józefem ścieżkami, jakie prowadziły do umówionego miejsca, lecz słowa jednego nie przemówił. Nie było to ze strachu ani obawy, ale nie znajdował upodobania w podobnym sposobie życia, a czyn, do którego go niejako zmuszono, uważał za twardą próbę, jaką mu zesa Opatrzność, dla tego też w sercu swoim modlił się do Boga, ażeby jak najmniej ze swej strony przyczynić się do wykonania zbrodni.

— „Najśw. Matko! — tak mówił sam do siebie, — spraw abym nie potrzebował czynić złego bliźnim moim, a nadto aby wyprawa ta dała mi sposobność zbawienia własnej duszy. Daj,



abym zdołał znaleźć jakikolwiek środek wymknięcia się i oddalenia od tych ludzi bezbożnych i ich przekłętogo rzemiosła. Módl się za mną, Najlepsza Matko, ucieczko grzeszników.“

Koledzy jego widząc go milczącego i zamysłonego, szydzić i naśmiewać się zeń poczęli; lecz przekonani iż milczenie to nie pochodziło z tchórzostwa, a równocześnie czując, iż Piotr zanadto jeszcze miał dobrych zasad i prawości w sercu, żeby postępować tą samą drogą, z łatwością dorozumieli się, czem myśl jego w tej chwili zajmowała się; radzili mu przetoż, żeby nie teraz, ale w chwili niebezpieczeństwa wzywał Świętych pomocy. Józef mianowicie był pierwszy z tą radą a nadto zapewniał Piotra, iż z doświadczenia, jakiego nabrał w długim swoim życiu rozbójniczem, wie o tem, iż prawie zawsze ci, którzy smutni byli i do Boga się modlili przed wyprawą, w takowej śmierć

znajdowali, a ponieważ nie życzy sobie, iżby ten sam los spotkał Piotra, dla tego radzi mu, skończyć modlitwy i być weselszym.

Miejsce, z którego odbyć się miał napad, znajdowało się w dolinie łączącej się z podługowatym wywyższeniem. W porze, w jakiej zwykle odbywały się podróże z Rzymu do Neapolu, znajdowały się tam muły i konie, które zakładano, ażeby łatwiej podciągnąć opakowane wozy podróżnych aż do szczytu góry. Lecz podróżni nasi wracali z Neapolu, a zatem z przeciwnej znajdowali się strony, to też miejsce zasadzki puste było zupełnie i dziwnie, jakoby umyślnie uformowane dla rozbójników. Spokojna ta i miła dolina o wszystkim innym łatwiej pozwalała myśleć, jak o gwałtach i zbrodni.

Rozbójnicy ukryli się w szałasie zbudowanym w rodzaju stajni, gdzie ludzie i konie w chwilach niepogody

szukali schronienia, a wysławszy kilku z nich na zwiady z rozkazem, żeby natychmiast, jak tylko zoczą powóz, podali sygnał, zapalili fajki i rozmawiali o tem, jak podzielić wypadnie zdobycz, która za chwil kilka stanie się ich własnością. Nie czekali oni długo; wnet bowiem dano znać, że powóz się zbliża. Przez szczeliny szalasu dostrzegli z radością i ukontentowaniem, że wóz coś ciężki i obładowany, co było dowodem, że właściciel jego z wszelkimi lubił podróżować wygodami.

Wóz zatrzymał się u szczytu góry; służący zeskoczył z kozła, żeby założyć hamulec do kół powozu, który odtąd miał się spuszczać z góry. Służący był to sobie chłopak tęgi, krzepki, silnie zbudowany, ale za to prócz niego nie było innego przeciwnika na zewnątrz powozu, gdyż pocztyljoni zanadto byli roztropni, żeby się mieszać do bójki i z rozbójników czynić

sobie nieprzyjaciół. O tem wszystkim wiedzieli ci ostatni dobrze.

Jeden przetoż po drugim wysunęli się z szalasu, kryjąc się za krzakami tuż nad drogą, a tymczasem powóz powoli spuszczał się z góry, ukazując się, to znowu znikając, stósownie do tego, jak go zasłaniały lub odsłaniały po obu brzegach drogi wysadzone drzewa. Nareszcie dojechał do doliny i zatrzymał się właśnie w miejscu, gdzie rozbójnicy nań czekali. Ten sam służący, wypatrujący na Goliata, zeskoczył na nowo z siedzenia swego, żeby odjąć hamulec. O niebezpieczeństwie lub napadzie jakim pewnie ani pomyślał. Tymczasem w chwili, kiedy zgięty ku ziemi, miał odwiązać łańcuch, niespodzianie pochwycony został z tyłu, i prędzej aniżeli pojąć i zrozumieć zdołał swoje nieszczęśliwe położenie, związany silnym powrozem. Nie wiedząc, co się z nim dzieje, zawołał z całej siły, pełen gniewu ude-

rzając jednego z rozbójników, który się znajdował najbliżej niego, tak silnie nogą, że ten niby kula stoczył się pod wóz, z pod którego zaledwie po chwili zdołał się zebrać, straciwszy na ten raz wszelką ochotę do dalszej bitwy. Oddalił się przetoż cokolwiek od bandy i czołgając się po ziemi niby jaszczurka, ukrył się w gęste zarośla. Krzyk służącego zbudził wszystkich znajdujących się w powozie — był to pan jeden, córka jego i służąca — a ponieważ wśród wszystkich wygód, z jakimi pan ten lubił podróżować, znajdowały się także dobrze opatrzone pistolety, a nadto właściciel ich bardzo był skłonny do gniewu i niecierpliwości, jeżeli ktoś śmiał w czemkolwiek mu się sprzeciwiać; spuścił natychmiast szybę powozu, a zrozumiałwszy o co chodzi, bez namysłu wymierzył do rozbójnika, który się znajdował na celu. Zdarzyło się, iż był to właśnie sam naczelnik, który z

podziwem i ukontentowaniem patrzył się na zręczność poddanych swoich. Czterech z pomiędzy nich pochwyciło konie za łby i zmusiło pocztylionów do zejścia z koźła; inni tymczasem starali się uspokoić i niezdolnym uczynić do walki biednego służącego. Widzieliśmy, jak dobrze umiał użyć nóg swoich, kiedy widział swoje ręce związane. Z pewną radością widział, jak rozbójnik, którego nie źle kopnął nogą, spieszył od woza, ale nie na długo było tej radości, gdyż wnet uczuł silne uderzenie z góry na głowę jego, tak iż kapelusz zakrył mu nos i uszy; chciał się bronić jeszcze, ale na próżno — noga jego jedna przywiązana była do koła powozu, od którego się uwolnić żadnym sposobem nie mógł, mając związane w tył ręce. Zrywał się jak mógł, aż konie niespokojne szarpnęły naprzód i obaliły go na ziemię, gdzie już ruszyć się nie mógł.



Lecz wróćmy do reszty podróżnych. Strzał tak niefortunnie padł, że chociaż zranił naczelnika bandy, nie odebrał mu jednakże zdolności do dalszej walki, owszem powiększył tylko wściekłość i gniew jego. Towarzysze jego w części gniew ten podzielali, gdyż wszyscy mniej lub więcej znajdowali się w niebezpieczeństwie. Jak łatwo bowiem mógł huk ten, jaki się rozległ za wystrzałem, sprowadzić niemiłych świadków sceny, którzy z pewnością nie broniliby sprawy rozdziczonej bandy. Drzwi powozu wyłamano gwałtownie, pana wyrzucono z powozu, dając mu porządne kułaki i waląc o ziemię. Nadto rozkazano panience, ażeby zeszła, ale to tonem, jakiego dotąd nie słyszała w życiu. Szukano rękoma zausznic lub innych ozdób, ale przezorna Angielka nie lubiła wystawy w podróży, tylko pięknie wszystko chowała w dobrze zamkniętej walizie. Lecz zaledwie stopą dotknęła ziemi,

kiedy dostrzegła ojca nad brzegiem drogi, gdzie go rzucono.

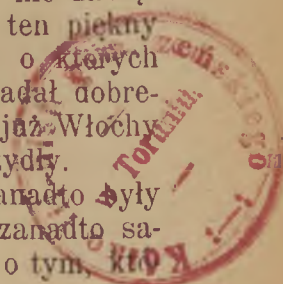
Zdjęta strachem i przerażeniem, porwana okropną boleścią chciała się rzucić ku niemu. Naczelnik, który to tak niemiłosiernie obszedł się z ojcem, już myślał się rzucić na córkę i podniósł rękę, aby ją uderzyć; lecz w tej samej chwili, nie wiedzieć z kąd, przypadł Piotr, powstrzymując silną swą dłonią rękę kapitana, i tak ocalił biedną dziewczynę od razu, który, jeżeli nie śmierć to przynajmniej dłuższą bezprzytomność mógł był sprowadzić. Gniew rozwścieklonego naczelnika doszedł do najwyższego stopnia, był on podobny do tygrysa zbudzonego niespodzianie ze snu, w oka mgnieniu wyciągnął z za pasa nóż swój długi, rzucając się na „zdrajcę“ jak śmiał nazwać wobec wszystkich nieszczęśliwego Piotra.

Piotr był bezbronny, dla tego trudno mu było stawiać opór długi; ode-

brawszy trzy czy cztery ciężkie rany, zanim Józef zdołał przybyć na pomoc jego, zwałił się jako nieżywy na murawę. W tej samej chwili dał się słyszeć tętent koni; byli to żandarmi, którzy w owym czasie więcej, aniżeli obecnie, pilnowali dróg i przejść niebezpiecznych. Rozbójnicy czempredzej zabrali z sobą naczelnika, któremu teraz dopiero na dobre dolegać poczęła rana, zostawili natomiast na miejscu biednego Piotra. Chociaż ciężko ranny, i zmęczony znacznym upływem krwi, zachował on jednakże całą przytomność. Kiedy widział uciekających towarzyszków swoich, zawłókł się jak mógł do nieszczęśliwego służącego i rozwiązał powróż, którym przemocowano go do powozu. Żandarmi tymczasem nadjechali i zajęli się panem i panienką. Pan, który miał głowę opartą na łonie córki, powoli począł odzyskiwać zmysły. Zajęto się tedy uporządkowaniem rze-

czy, osadzono pana i córkę jego w powozie, odwiązano służącemu ręce, a widząc, że kapelusza żadnym sposobem zdjąć nie można, gdyż wskutek gwałtownego wcisnienia głowa i nos znacznie opuchły, rozpruto go ze strony i tym sposobem zwolniono głowę z niemilego bandażu. Biedny ten człowiek tak był zdjęty wstydem z powodu położenia, w jakim go znaleziono i z powodu łatwości, z jaką się jego umiano uczynić bezużyteczną, iż nie mógł dosyć nadziękować się tym, którzy mu znowu przywrócili wolność. Wchodząc na kozieł, nie mógł jednakże powstrzymać się, żeby nie zakląć porządnie kilka razy na ten piękny kraj i jego mieszkańców, o których pan jego zawsze tyle powiadał dobrego. Co do niego, to mu już Włochy i kraj ich na zawsze obrzydły.

Panienska i służąca zanadto były zajęte panem, a służący zanadto samym sobą, żeby pomyśleć o tym,



ry w chwili niebezpieczeństwa tak wielkie oddał im usługi. Żandarmi zbliżyli się do Piotra w chwili, kiedy ciągle jeszcze upływająca krew spowodowała pewne omdlenie, a sądząc, iż już umarł, a może umrze za chwilę, zostawili go na miejscu, zamiast zabrać ze sobą na konie i poprowadzić do najbliższego miasta. Kawalkada już ruszyła z miejsca zostawiając go samego, niezdolnego, żeby móżdż poradzić sobie samemu, wyczekującego, ażby śmierć zwarzyła resztę krwi jaka mu się jeszcze została.

Lecz zaledwie posunięto się o kroków kilka, panienka, która przypomniała sobie, iż któryś z rozbójników z narażeniem własnego życia zasłonił ją od śmierci, wystawiając się bezbronny na straszny napad naczelnika i padając na ziemię wskutek ran odebranych, uniesiona uczuciem wdzięczności, jaka się należała za podobną wspaniałomyślność i szlachetność ser-

ca, kazała zatrzymać powóz, a przekonawszy się o położeniu rzeczy, poprosiła dwóch z żandarmów, żeby czemprędzej zanieśli wieść tę do pobliskiego klasztoru, prosząc o pomoc i radę dla nieszczęśliwego.

Żandarmi posłuszni rozkazowi, z wszelkimi szczegółami opowiedzieli zdarzenie opisując dokładnie furtyanowi miejsce, w którym znajdował się ranny, a spełniwszy polecenie, wrócili, żeby razem z innymi pospieszyć do najbliższego miasta w celu zdania raportu z niemiłego zdarzenia. Furtyan ze swej strony uwiadomił Przełożonego klasztoru, który natychmiast opuścił chór — gdyż właśnie to była chwila śpiewania godzinek — dając rozkaz, ażeby ojciec lekarz i kilku braciszków, zabrawszy z sobą lektykę, pospieszyło co prędzej na miejsce, gdzie znajdował się nieszczęśliwy. Szparkim posuwając się krokiem na miejsce oznaczone, wnet doszli do doliny, gdzie



przed chwilą odbyła się owa krwawa scena. Zakonnik postępował najprzód w swem białem ubraniu; głowa już łysa zupełnie, broda dawne pamiętająca czasy i poważnie spadająca na piersi, krucyfiks i rożaniec u pasa, na nogach ciężkie drewniane sandały. Znalazł on pacyenta swego opartym na łokciu ręki prawej, ściskającego lewą ręką konwulsyjnie garść trawy, jakoby myślał tym sposobem mózg podnieść się ze ziemi. Głowa jego jednakże ciężka i bezwładna mimowolnie spadała na ramiona, a wszystko razem dowodziło, że był bliskim omdlenia. Ułożono go więc na wznak na murawie, wpuszczając w usta jego kropli kilka orzeźwiającego płynu, który choć na chwilę uspokoił nerwy i powstrzymał od zupełnego omdlenia. Słabość jednakże była tak wielką, iż żadnym sposobem nie mógł się ruszyć z miejsca. Słudzy więc włożyli go prawie na pół umarłego na lektykę i

zanieśli do ształasu, w którym przed chwilą rozbójnicy odbyli radę swoją. Czempredzej ojciec lekarz zajął się bandaniem ran, z radością i ukontentowaniem zapewniając, że mimo wielkie osłabienie chorego, jest nadzieja wyzdrowienia, gdyż rany nie są śmiertelne. Zaopatrzone go tedy i zabandażowano, chorego włożono na nowo na lektykę, żeby tym sposobem przemieść go do klasztoru. Starano się unikać najmniejszych wstrząśnień, postępowano z największą uwagą najprzód, gdyż obawiano się, że najmniejszy upływ krwi, której już i tak nie było wiele, mógł być sprowadzić śmierć a co najmniej utrudnić i znacznie przedłużyć wyzdrowienie. Zresztą łatwo było postępować w ten sposób, dopóty droga była równa i szeroka, ale kiedy poczęto wspinać się na górę, na której położony był klasztor, trudno było przy największej oględności nie potraćić niekiedy nogą o nierów-

na skałę, a tem samem zbudzić chorego, który przy każdym takim wstrząśnieniu większą ujęty boleścią, odzywał się głuchym jękiem i narzekaniem. Tak tedy powoli postępował ów smutny orszak; tymczasem słońce skryło się za góry, a noc czarnym pędzlem zacierać poczyniała ostatnie jego rumieńce. — Zapalono więc pochodnie, które dwóch braciszków niosło naprzód, za nimi postępowało czterech niosących chorego na lektyce sporządzonej na prędcie, a składającej się z kawała płótna, przybitego z każdej strony do dwóch drągów. O ile szorstkość ścieżki pozwałała, ojciec lekarz trzymał się po boku chorego, wstrzymując lektykę każdą razą, kiedy widział drogę trudniejszą i więcej nierówną, szeptać rozmaite ustępy z psalmów, jakże mu przychodziły na pamięć, i od czasu do czasu rzucając słowa pociechy choremu, którego straszne trapiły boleści. Inni braciszkowie postępowali

li za chorym, gotowi zwolnić albo wesprzeć drugich, kiedy góra stawiała się więcej stromą.

Tak więc posuwali się ową drogą niewygodną i nierówną wpośród ogromnych omszałych pniów starych topoli hiszpańskich, które rosły tu z tej strony doliny, często potaczając się o gęsto z ziemi wysterczające korzenie, albo też wpadali w kłęśności i doły, jakie deszcz i kapryśną ręką czasu ułożone kamienie tu i owdzie wyżłobiły. Wreszcie zbliżano się do szczytu góry — trudności największe już były pokonane, wypadło jeszcze przejść przez strumyk, który ochoczo spuszczał się do doliny. Z drugiej strony mostu już wygodna i szeroka droga wprost wiodła do klasztoru, znajdującego się w niezbyt wielkiej odległości. Furtyan zdaleka dostrzegłszy zbliżających się przychodniów, natychmiast szeroko rozwarł furtę klasztorną na znak chrześcijańskiej gościnności.

Z niewygodnej i wazkiej lektyki wnet przeniesiono Piotra do łóżka, w którym wprawdzie matrace nie były zbyt miękkie a pokrycia zwyczajne, jednakże ponieważ od kilka miesięcy już nie używał łóżka, czuł się nadzwyczaj szczęśliwym i zadowolonym.

Chociaż mu przychodziła niekiedy ta myśl, że ostatnia to jego choroba przed śmiercią, to jednakże czuł, że mu jakoś nie spieszo wcale wynosić się z tego świata. Rany jego były głębokie i tego rodzaju, że mu sprawiały okropne bóleści; wielki upływ krwi znacznie go osłabił, ale żadna część żywotna, t. j. utrzymująca życie w człowieku nie była uszkodzona, a Ojciec lekarz, raz jeszcze wyegzaminowawszy pacyenta, na nowo zapewnił Przełożonego, że chory za pomocą bożą w tygodni kilka z łoża się podniesie. Reszta zakonników dowiedziawszy się o okropnem zdarzeniu, zgodziła się na to, żeby wszystkie

msze św. dnia następnego odprawić na intencją chorego, prosząc o wyzdrowienie ciała i duszy jego. Pełni dziękczynienia wszyscy w milczeniu wzniesli serca do Boga, dzięki składając za to, że raczył wyrwać z rąk rozbójników nieszczęśliwego, postępując się w niezbadanych wyrokach swoich tą okolicznością, żeby doprowadzić do szczęścia lepszego i upamiętania tego, w którego sercu rozpacz już na dobre gospodą osiedlać się poczyniała.

Nie będziemy wchodzili w rozmaite szczegóły choroby Piotra aż do czasu, kiedy zostawał w szpitalu klasztornym. Organizm jego wskutek cierpień moralnych i fizycznych, przez jakie przechodził, zanim się dostał do tam, tak był zrujnowany, iż niekiedy wyzdrowienie jego wydawało się wątpliwem i obawiać się poczynano, żeby rany, chociaż nie tyle niebezpieczne same w sobie, w tych właśnie niefortunnych okolicznościach nie spro-



wadziły śmierci. Często sprawozdanie, jakie Ojciec lekarz zdawał Przełożonemu, pełne było niepokoju i wątpliwości. Tymczasem ogólne modlitwy nie ustawały się wznosić do Boga na intencją chorego. — Wystarczy powiedzieć, że Piotr po kilku tygodniach powstał z choroby swojej, zabierając jednakże z niej pewne cierpienia serca, które lat kilka później stały się powodem śmierci jego. Od samego początku jak również w całym przebiegu choroby zachowanie się jego było wzorowe i budujące, co nie tylko Ojcu lekarzowi, ale i wszystkim, którzy koło niego mieli staranie, prawdziwą sprawiało rozkosz. Przyjmując go do siebie, sądzili wszyscy, że ranny był rozbójnikiem, a jako taki człowiekiem dzikim, nieznośnym, zatwardziałym grzesznikiem, którego Bóg przy końcu życia nawiedził krótkim cierpieniem, żeby może tym sposobem przywieść do łaski. Mieli wprawdzie nadzieję,

choć pełną obawy, że wskutek dłuższego pobytu w ich domu aż do chwili wyzdrowienia i wskutek czasu, jaki będzie miał do namysłu i do obliczenia się z sumieniem wpośród owych rozlicznych nabożeństw i śpiewów pobożnych klasztornych, w miejscu, gdzie wszystko mówi o pogardzie świata a wysokiej cenie życia poza grobem, u sposobienie chorego za łaską Boga zmieni się na dobre. Nie mało się przetoż zdziwili, kiedy zaraz z pierwszych słów chorego dostrzegli, że nie był on wcale zatwardziałym zbrodniarzem, ale człowiekiem, który w duchu prawdziwej pokuty nie narzeka na cierpienia, jakie mu znosić wypada, który po każdym mimowolnym wykrzyku boleści wzbudza akt dziękczynienia za twardą próbę, jaką mu nieba zesłały na to, żeby odpokutował ciężkie grzechy swoje w tem życiu a znalazł przebaczenie i pokój w tamtym. Również dziękował w sercu swoim

Najśw. Pannie, że wysłuchała prośby jego, wrywając go w sposób doprawdy cudowny z towarzystwa grzesznego, z grona zbrodniarzy, a pozwoliła mu spotkać się z istotami, przeciwną zupełnie postępującemi drogą, istotami, których życie zabezpieczone uczynkami miłości, jakie zdradza posłuszeństwo, prawdziwa pobożność i modlitwa.

Skoro tylko Piotr był zdolny zebrać myśli swoje w sposób, jaki wymaga podobnie ważna okoliczność, złożył przed ojcem Przełożonym spowiedź z życia całego — powiedział wszystko, cokolwiek tylko sprawiało mu niepokój jakiś, wszystko cokolwiek w pamięci swojej od lat najdawniejszych zachować zdołał. Wyznał z pokorą i skruchą owe podwójne zabójstwo z wszystkiemi szczegółami, nie tając sposobu życia, jakie prowadził po dopełnieniu zbrodni. Zdał się zupełnie na wolę Boga i sąd spowiednika swe-

go, przyrzekając uroczyście, że jest gotów, że nawet życzyłby sobie odpokutować występki swój na szubienicy, ażeby tym sposobem uczynić zadostę sprawiedliwości publicznej za krzywdę, jaką jej wyrządził. Wprawdzie gotowość ta podobnej restytucji nie wypłynęła z własnego jego serca, ani też mogła wypłynąć naturalnym trybem u mieszkańców kraju, w którym dla słabości i niedołężności rządu rozmaite działy się zbrodnie na przekorę sprawiedliwości, jakiej rozkiełznana swywola należycie uszanować nie umiała. Piotr zrobił to postanowienie pod natchnieniem spowiednika swego, który najprzód jako kapłan żądał restytucji dla prawa, a powtóre jako pochodzący z Włoch północnych, natenczas należących do berła austriackiego, dokładniejsze miał wyobrażenie o porządku i prawie, i lepiej umiał uszanować nawet jako człowiek świecki władzę, która pocho-

działa od Boga. Postawił tedy spowiadającemu się to pytanie, czy go-tówby był w razie, gdyby obecność jego w klasztorze została odkrytą, krwią własną publicznie zmyć plamę, jaką zadał duszy i krzywdę, jaką wyrządził prawu dopuszczeniem się zbrodni? Przekonany tedy o najlepszych intencjach Piotra, chcąc zapobiedz wszelkim dalszym przykrościom, następnego dnia zaraz wybrał się do Rzymu, ażeby o rzeczy tej pomówić z Sekretarzem Państwa.

Kardynał, który natenczas piastował ten urząd, z przyjemnością wysłuchał prośby, jaką mu przedstawił, mającą na celu ułaskawienie Piotra. Przyobiecał bez zwłoki przedłożyć sprawę tę Jego Świątobliwości i w dni kilka zasiać odpowiedź do klasztoru. Pełen najlepszych nadziei wrócił Przełożony do domu, spiesząc uwiadomić o wszystkim biednego Piotra. Opowiadania tego słuchał Piotr,

jak łatwo domyśleć się można, z wielkim interesem i głęboką wdzięcznością, miarkując jednakże swoją radość i uniesienie, gdyż wskutek ostatnich zdarzeń stał się zupełnie innym, poddając się całkiem woli Boga, a w każdym cierpieniu upatrując nową łaskę, nowy dowód boskiego miłosierdzia i nową sposobność naprawienia złego. Zresztą był przekonany, że wszystko cokolwiek go odtąd spotkać może, tylko za dobre mu posłuży. Patrzył się na przyszłość z zupełnem zaufaniem w Opatrzność, nie licząc jednakże wcale na chwile przyjemne, ani też ich sobie życząc, gdyż wiedział z doświadczenia, że po nich właśnie następuje smutek i złudzenie. Spowiednik jego, ucieszony niezmiernie z tych uczuć wzniosłych pacyenta swego, dziękował Bogu za wszystko, nową jeszcze dodając prośbę i razem z innymi ofiarując mszę św. w tej intencji, ażeby Piotr wytrwał w dobrem,



stawał się coraz doskonalszym i żył na chwałę bożą — żeby haniebna ta kara, na jaką sobie zasłużył, opuszczoną mu została, i żeby stał się silnym i jasniejącem światłem miłości i bogobojności w ich zgromadzeniu lub w innym jakim, jeżeli taka jest wola Boga!

Modlitwy zaś te nie zostały bez skutku. Po kilku dniach umyślny nadszedł do klasztoru, przynosząc nowinę o zupełnem ułaskawieniu Piotra, danem na fundamencie nasamprzód trudnych okoliczności, w jakich popełnioną została zbrodnia, powtóre zachowania się jego w chwili, kiedy rozścieklony naczelnik myślał rzucić się na bezbronną panienkę, a ostatecznie wskutek skruchy, jaką czuł w sercu za wszystko, cokolwiek był złego uczynił. Nowina ta spisana na urzędowym dokumencie, kończyła się kilku wyrazami zachęty wprost skierowanymi do młodego człowieka, ażeby tenże wróciwszy kiedyś do świata,

nie oziębił owych uczuć religijnych, jakie Bóg zawsze dobry i miłosierny wzniecił w sercu jego, z obawy iżby się nie stał podobny do owego człowieka Ewangelii, który uwolniony od złego ducha, uciekł w miejsca dzikie i nieurodzajne, żeby szukać spoczynku, a nie znalazłszy go, pociągnął za sobą siedm innych duchów, tak że ostatecznie rzeczy jego stały się gorsze, aniżeli pierwsze. Nadto Ojciec św. polecał mu bardzo wstąpić do jakiego zakonu, a gdyby to się nie sprzeciwiało usposobieniu jego, przyjąć habit w tym samym klasztorze, w którym jako chory przebywał.

Piotr nie namyślał się długo, żeby iść za radą, jaką uważał za wolę Opatrzności. Przyszedłszy do zdrowia, natychmiast wstąpił do nowicyatu, obierając podobnie jak wszyscy inni, jeden ze czternastu maluczkich domków, jakie tworzyły całość klasztoru. Jak wszystkie inne, składał on się ze

czterech pokoiów bez piętra; jeden z nich służył do spania, drugi do studyowania, trzeci urządzony na małą kapliczkę, a czwarty w rodzaju warsztatu. W tem samym ogrodzeniu znajdował się maluczki ogródek z pięknym chociaż skromnym wodotryskiem, niezbędnym w podobnym klimacie. Ponad drzwiami czterech tych pokoiów wyraźnym charakterem wypisane były słowa: śmierć, sąd, niebo i piekło. Piotr lubił samotność i celę swoją, z której go wzywał chyba dzwonek zwołujący do chóru, co się zdarzało pięć razy na dzień, a co noc dwa razy. Nigdy nie jadał mięsa, ale co dzień sam chodził do kuchni, żeby poprosić o trochę rosolu i wina. Tyle, ile mu dawano chleba na tydzień, odbierał od razu na cały tydzień, żeby nie zawsze mieć chleb świeży a tem samem choć małe sobie zrobić umartwienie. Łóżko jego z prostego złożone było siennika, — nadto spać

wypadało w ubraniu swoim zwyczajnem nie mając na przykrycie nic więcej, jak płaszcz tego samego, co habit, koloru.

Iluż byłoby się cofnęło przed takim życiem, pełnem niewygód i umartwień! Iluż nie zważając już na ostrości i surowości jego, nie zdołałoby wytrwać dla męczącej jednostajności. Piotr jednakże, jak tylko uśmierzyły się wybryki młodości, nie był człowiekiem, żeby dla słabych jakich przyczyn zaniechać tego, do czego raz uroczyście się zobowiązał. A trudności te, o których codopiero mówiliśmy, wnet przestały mu sprawiać przykrości i niepokoje, a natomiast stały się dlań prawdziwą rozkoszą i przyjemnością, powiększając owo życzenie, jakie ciągle nosił w sercu, zbliżenia się o ile możności jak najprędzej do końca nowicyatu swego i wstąpienia już na dobre do grona uczniów i dzieci św. Romualda. Życzenie to jego, jak tylko

czas nowicyatu upłynął, spełniło się rzeczywiście. W tym czasie przygotowawczym miał szczęście dwa czy trzy razy widzieć się z matką swoją, lecz ostatni raz widział ją w dzień, który był wigilią uroczystego wstąpienia jego do zakonu. Odtąd drzwi klasztoru zawarły się za nim na zawsze.

Cały oddał się życiu ascetycznemu, nie pozwalając sobie żadnego wypocznienia jak tylko wtenczas, kiedy posłuszeństwo dla spowiednika tego wymagało, mianowicie kiedy tenże uważał, że osłabiony temperament Piotra wskutek sposobu życia za nadto ostrego nie małomógłby ucierpieć. Piotr częściej też przebywał w szpitalu udając się do umiejętności doświadczonego ojca lekarza, ale zawsze krótko tylko trwało jego osłabienie, i wnet zwykle wracał do swojej samotnej celi. Zdolności jego przechodziły stopień zwyczajny, a chociaż zaniedbane skutkiem okoliczności, to jednakże, po-

nieważ pierwsze jego wychowanie, jak w ogóle wychowanie większej części Włochów, było dobre i gruntowne, zdolności te wskutek głębszego rozmyślenia, do którego pobudzała samotność, nowej nabrały siły i sprężystości. Prosił przetoż o pozwolenie korzystania z zapasów wiedzy, jakie mieściła nie zbyt obszerna ale treściwa biblioteka klasztorna. Porwany niepohamowanym jakimś szaleństwem dowiedzenia się o wielu rzeczach, o których dotąd nie miał wyobrażenia, z chciwością zabrał się do książki, czytał i studyował z natężeniem; mianowicie dzieła teologiczne. Pilność ta i żądza wiedzy nie uszła uwagi Przełożonego, który nie widział nic stosowniejszego, jak tylko utwierdzić i pochwalić podobną dążność.

Lecz pokora Piotra rosła z wiadomościami jego; im więcej poznawał rzeczy, tem dokładniej widział, ile mu jeszcze zostaje tajemnic i trudności



dotąd nie wypełnionych, a korząc się przed wszechwiedzą Pana, zrozumiał dobrze, że wiedza sama, choćby najobszerniejsza nawet w rzeczach religii, niczem jest w porównaniu z posłuszeństwem dla przykazań i przepisów danych przez tych, jakich Bóg postawił wyżej od nas. Zakon, do którego należał, więcej się odznaczał świętością aniżeli uczonością, to też po upływie pewnego czasu wiadomości Piotra obszerniejsze były do wiadomości reszty członków Zgromadzenia. Jednakże zaledwie coś wiedział o tem, a widząc i przekonywując się, że każdy z nich dziennie swoje obowiązki sumiennie wypełnia od niego, przynajmniej w jednym lub drugim punkcie uważał ich wszystkich za lepszych i doskonalszych od siebie. Ta pokora, tak czysta i szczerą, objawiająca się zresztą w najdrobniejszych rzeczach, dała braciom wyobrażenie o wielkiej świętobliwości jego, kiedy właśnie na-

darzyła się sposobność, która położyła koniec coraz to wzmagającemu się cierpieniu ciała jego, a poprowadziła go do błogosławionego grona tych, z którymi już myślą i sercem był się połączył najprzód.

Zakaz mówienia, gdyby niekiedy nie uznawał przerwy, byłby przetrwał dla każdego z Zgromadzenia aż do śmierci. Z obawy przetoż, żeby okazyi przemówienia od czasu do czasu nie zabrakło, fundator zakonu nadał przełożonym domu osobną władzę, za pomocą której w chwilach nadzwyczajnych tenże zezwolić mógł na przerwanie milczenia, dając zakonnikom na czas krótki wszelką swobodę rozmawiania, tak pomiędzy sobą, jak z obcymi. Wizyta Ojca św. była jedną z podobnych chwil nadzwyczajnych, a właśnie przypadła ona w tym czasie, w którym się znajdujemy. Ojciec św. który ułaskawił Piotra, znajdował się dla ważnej jakiejś sprawy w bli-

skości klasztoru; to też jednego dnia wysłał umyślnego z nowiną, że zarazem z zakonnikami dnia następnego zje obiad i przepędzi chwil kilka. W istocie nadjechał i natychmiast dał pozwolenstwo rozmawiania w czasie pobytu swego, zasiadł do stołu z zakonnikami, prowadząc rozmowę w sposób jak najserdeczniejszy. Zwrócił się także do Piotra, którego nieszczęśliwy bieg życia, jak również powrót do łaski znał dokładnie z ust Przełożonego, i powiedział mu pomiędzy innem, że banda rozbójników, do których niegdyś należał, powłóczywszy się czas pewien w okolicach Neapolu, na nowo wróciła do dawniejszej siedziby, tak iż zniewolony był zasłać żołnierzy, żeby ich z tamtąd wykurzyć. Tymczasem z przykrością wyznać mu wypada, że wskutek utarczki, jaka zaszła pomiędzy rozbójnikami a żołnierzami, ostatni całkiem odepnięci zostali, a chociaż naczelnik ciężko ranny został, a nawet

może zabity. nikogo z nich nie udało się zabrać do niewoli. Ojciec św. więcej jeszcze opowiadał szczegółów odnoszących się do rozbójników, mianowicie o ich okrucieństwach wobec wszystkich, popełnionych nawet na kobietach i dzieciach, które przypadkiem, albo z próżnej ciekawości zanadto śmiało zbliżyły się do ich pieczary.

Jak sobie łatwo wyobrazić, Piotr słuchał wszystkich tych szczegółów z największą uwagą, a kiedy Ojciec św. przestał mówić o tym przedmiocie, zwracając się w rozmowie swojej do innego zakonnika, Piotr zanurzył się w głębokiem milczeniu. Po chwili zerwał się, poszedł do Przełożonego, szepnął słów kilka po cichu, potem rzucił się na kolana przed Ojcem św. prosząc go ze łzami w oczach, ażeby mu pozwolił poświęcić swe życie, jeżeli tego wymagałaby konieczność, za swych dawnych towarzyszków. Powiedział, iż wie, że znajdują się po-

między nimi tacy, których serce jeszcze czuje, że przetoż nie wypada zupełnie porzucić nadziei, iż skoro tylko nieszczęście i niebezpieczeństwo ich położenia w sposób jasny i dobitny wykazanem im zostanie, niektórzy z nich przez miłosierdzie boskie do szczęśliwej zmiany życia przyprować się mogą. Ojciec św. bardzo był rozczulony słowy Piotra, lecz starał się odwieść go od tego przedsięwzięcia, wystawiając mu, iż podług wszelkiego prawdopodobieństwa zginie jako szpieg, zanim znajdzie sposobność zbliżenia się do rozbójników i że, jeżeli zdoła wymknąć się temu niebezpieczeństwu, natenczas bez trudności poznanym zostanie przez nich i jako zdrajca straconym.

Te przedstawienia wszelakoż zostały bez skutku. Im więcej Ojciec św. i inni starali się go odwieść od zamiaru z powodu niebezpieczeństwa, tem więcej nalegał, żeby skłonić się

zechciano do prośby jego. Ostatecznie Ojciec św. ustąpił, a Piotr ucałowawszy stopę jego z głęboką wdzięcznością, podniósł się z wyrazem ukontentowania na twarzy i radością, której nigdy później nie zapomnieli ci, którzy sceny tej byli świadkami. Wyraz ten ciągle zostawał ten sam, bez zmiany, aż do wieczoru. Piotr zdawał się nie troszczyć wcale o to, co go otaczało, ani też przemówił słowa, dopóki go służba w chórze nie obudziła z tego letargu, dając mu sposobność wylania uczuć duszy swej w peniach dziękczynienia wobec Tego, którego imię za chwilę miał wyznać przed ludźmi, tysiąc razy gorszymi od pogan, przed chrześcijaninami, którzy zaparli się Boga swego.

Nazajutrz wybrał się wcześniej bardzo w podróż, zabierając z sobą krzyż, na króym z miedzi znajdował się obraz odkupienia naszego, i dwóch braciszków klasztornych, którzy mu



towarzyszyć mieli tak daleko, jak własne ich bezpieczeństwo pozwalało, i zanieść później wieść do klasztoru o losie, jakiby spotkał Piotra.

W czasie podróży zwracał się do nich, przemawiając tonem wesołym i pełnym ukontentowania, ale częściej zachowując milczenie, które skutkiem długich ćwiczeń duchownych milszem mu teraz się wydawało, aniżeli wszelka rozmowa. Zatopiony w modlitwie i rozmyślaniu mało zważał na krajobrazy i osoby, jakie po drodze spotkać się zdarzyło. — Piotr i dwaj jego towarzysze doszli tym sposobem do owej dzikiej i skalistej doliny, którą lat temu kilka przechodził ten sam Piotr z sumieniem innym zupełnie jak obecnie. Dzikie i ponure wejście tego miejsca odpowiadało natenczas zupełnie strasznej rozpaczki duszy jego, ale bodaj większą jeszcze sprawiało ono harmonią w tej chwili z przedsięwzięciem surowego zaparcia

się siebie, które całkiem napełniało umysł jego.

Kiedy doszli do skały, gdzie droga, jak to mówiliśmy na początku powieści, rozchodziła się na dwie strony, jedna prowadząc do jaskini zbójców a druga do przepaści, ponad którą Piotr niegdyś w tak wielkiem znajdował się niebezpieczeństwie, rozkazał zakonnik towarzyszom swoim zatrzymać się, objaśniając, iż dotąd już kule rozbójników dosięgnąć ich mogą, i że koniecznie wypada się rozłączyć. Zawiesił tedy krzyż na skale, i wszyscy padli na kolana, prosząc Wszemocnego o szczęśliwy skutek przedsięwzięcia, jakie z tak czystych płynęło intencji. — Modlitwa ta trwała minut kilka. Przygotowawszy się tym sposobem na śmierć, uścisnął Piotr towarzyszy swoich wesoło i serdecznie i pozwolił im wrócić do klasztoru, sam obróciwszy wizerunek krzyża w stronę ku jaskini i trzymając go przed

sobą, rozpoczął przykrą i ciężką drogę pod górę.

Jak przypuścić można, zbliżenie się tych troje osób nie uszło uwagi rozbójników; od czasu kiedy Piotr ich opuścił, nie jedno się zmieniło w ich gromadzie. Wielu z tych, którzy pomiędzy rozbójnikami byli najmłodszy i najczynniejsi, znaleźli koniec swój w niespodzianej i gwałtownej śmierci, idąc zdać rachunek ostatni z uczynków, jakie pełnili na ziemi, rachunek, na który tak źle i niedostatecznie byli przygotowani. Józef i ów młody człowiek, który stał na czatach przed jaskiną podczas kiedy Piotr pierwszą noc przepędzał w jaskini, zginęli tym sposobem. Zostało się jeszcze sześciu czy siedmiu z dawniejszej bandy, a pomiędzy nimi także brutalny ów i okrutny naczelnik. Zawsze jeszcze był on przewodniczącym, chociaż prawdopodobnie nie na długo już mu się zostało tego zaszczytu, gdyż nie-

bezpiecznie ranny w ostatniej utarczce z żołnierzami, jakby nieżywy spoczywał w tej chwili, rozłożony na snopku słomy i gromadzie suchego liścia, a czując najokropniejsze boleści i tarzając się niby wąż na posłaniu swoim, bluźnił w gorączce Bogu, przeklinał siebie samego i towarzyszków swoich w sposób, który rzucał postrach i przerażenie na wszystkich. Banda rozbójników z powodu tego stanu naczelnika nie znajdowała się w zwykłym porządku. Odwachy wprowadzono stały porządek, żeby czuwać nad otoczeniem pieczary, ale ponieważ nie było nikogo, kto by rządził i rozkazywał, przetoż każdy czynił to, co mu się wydawało najodpowiedniejszym dla własnego dobra i bezpieczeństwa gromady. Człowiek, który stał na odwachu ze strony doliny i który miał rozkaz zwykły wymierzenia do każdego, który się zbliżył aż do znanej skały, przy-

której właśnie rozchodziły się drogi, spuścił broń, kiedy widział, że ci, którzy się byli zbliżyli aż dotąd, zakonne mieli szaty, a nadto, że się zatrzymali, jakoby nie mieli myśli ani zamiaru postępować dalej. Gdyby naczelnik był zdolen wydać rozkaz, rozbójnik zapewne byłby poszedł zapytać o radę i nie trudno odgadnąć, jakaby była rada tej krwiożerczej natury. Zdarzyło się jednak, że ciekawość rozbójnika, chętna dowiedzieć się przyczyny wizyty Piotra, jako też reszta uszanowania dla zakonnika, które tak właściwem jest wszystkim Włochom, nie pozwoliły mu przerywać im modlitwy, którą odprawiali klęcząco. Później jednakże, kiedy widział, że jeden z nich zabierał się do wchodzenia pod górę i to w kierunku jaskini, wziął go na cel, a przekonany, że własne jego jako też dobro bandy jest w ni-bezpieczeństwie, nie zajmował się niczem, jak tylko zapewnieniem sobie skutku

strzału, który na zawsze miał zaspokoić zbytnią ciekawość czy śmiałość nieproszonego przybysza. Lecz zdarżyło się, że wskutek rozmaitych skrętów, jakie tworzyły dzikie skały, Piotr to zniknął, to na nowo ukazywał się rozbójnikowi, a co gorsza, że każdą razą kiedy wyjrzał z za skały, krucyfiks znajdował się pierwszy naprzeciw wystrzałowi i nie można było mierzyć do zakonnika, żeby nie uszkodzić równocześnie wizerunku Zbawiciela. Mimo długoletniej zażyłości z zbrodnią i występkiem, rozbójnik jednakże nie posiadał tyle odwagi, żeby mierzyć do krzyża, który zawsze oznaczał głęboką tajemnicę miłości Boga do ludzkości, czekał przetoż, ażby korzystniejsza mu się nadarzyła pozycja.

Tymczasem zakonnik podchodził coraz bliżej, a jakby znał myśl zdradliwą nieszczęśliwego zbrodniarza, postępował trzymając krzyż przed sobą na piersiach. Im więcej zbliżał się



Piotr do wierzchołka góry, tem więcej naturalnie rosło i wzmagalo się niebezpieczeństwo o życie jego; lecz równocześnie miedziana figura, która coraz wydatniej odbijała od czarnego drzewa krzyża zaślepiając blaskiem swoim przenikliwe oko rozbójnika, pomnażała w sercu jego wstręt do strzelania. Nie wiedząc, co począć ani kogo zapytać o radę, oparł karabin o ziemię, poglądając okiem niespokojnem na śmiałego mnicha. Piotr tymczasem poddrapawasz się z trudnością wielką aż do samego wierzchołka, znajdował się na płaszczyźnie, z jakiej już wprost było wejście do jaskini. Rozbójnik, jakby najlepszy chrześcijanin porwany pewnie jednym z owych uczuć niewinnej młodości, kiedy widział zakonnik przed sobą, zdjął kapelusz z głowy i przykląkł, szukając w sumieniu swoim uniewinnienia za postępowanie swoje, którem pozwolił zakonnikowi podejść aż do tego miej-

sca. Cóż w tem złego, tak sobie dowodził, że mu się pozwoliło dojsć do-  
tąd, jeżeli go się ztąd nie wypuści. —  
Inni rozbójnicy słysząc zbliżające się  
kroki Piotra, a nie umiejąc sobie wy-  
tłómaczyć zachowania odwachu, wy-  
szli natychmiast z kryjówek, żeby do-  
wiedzieć się wyjaśnienia rzeczy. Ale już  
odwach sam stał tuż u drzwi jaskini,  
pełen strachu i obawy, czem niema-  
ło przestraszył innych.

Piotr zbliżył się krokiem pewnym  
aż do jaskini, powtarzając głosem  
czystym i wyraźnym owe słowa Jana  
św. Jak Mojżesz wywyższył węża  
na puszczy, tak samo potrzeba, aby  
Syn Człowieczy został wywyższon,  
ażeby każdy, który weń wierzy, nie  
zginął, ale miał żywot wieczny. 1 Jan  
III, 14-15. Kiedy bliżej jeszcze do-  
szedł do bandy, zauważył, że chociaż  
rozbójnicy wewnątrz rozwściekieni byli  
z powodu tej jego wizyty i przygo-  
towywali zemstę, to jednakże nie było

ani jednego pomiędzy tymi, którzy się zebrali byli na maluczkiej płaszczyźnie przed jaskinią, któryby nie zdjął kapełusza i nie przykląkł, Piotr tymczasem ciągnął dalej:

— A ja, kiedy wywyższon będę ponad ziemię, wszystkich pociągnę do siebie. 1 Jan XII. 32. Już był doszedł zupełnie do gromady i nim jeszcze zdołano zadać niecierpliwe i nie bardzo uprzejme zapytanie, na jakie wszyscy się przygotowali, pospieszył podać krzyż swój do ucałowania każdemu, zbliżając go do owych dzikich postaci tych ludzi, którzy nie wiedzieć jakim sposobem, klęczący otoczyli go do koła. Ceremonii tej, mającej więcej znaczenia i skutku, aniżeli się spodziewać można, kilku poddało się z gniewem wprawdzie i niecierpliwością, ale jednakże poddali się wszyscy. Wszelakoż nie trwała ona długo, a bodaj jeszcze nie zupełnie się skończyła, kiedy pytania:

— Któż cię tu przyprowadził? Cóż sobie życzysz? jaki jest cel twojej wyprawy? — ze wszystkich stron niby grad sypać się poczęły.

— Przyszedłem, ażeby widzieć się z umierającym, odrzekł zakonnik.

— Hm, — odpowiedzieli rozbójnicy, — nikt pewnie z nas tak bliski nie jest śmierci, jak ty sam!

Lecz rozmowę tę gwałtownie przerwał naczelnik, który w napadzie gorączki, jaka często przychodziła wskutek ciężkich ran i boleści, nie mogąc wytrzymać na zwykłym swoim posłaniu w głębi jaskini, kazał sobie przygotować leżysko u wejścia. W tej chwili, przeżywszy noc niespokojną, cierpiał więcej niż zwykle i rzucał się na wszystkie strony z boleści. Umysł jego w malignie przypominał niektóre sceny z młodości w porównaniu z obecnym sposobem życia cnotliwej i niewinnej, ale już wtenczas nieszczęsnej dla własnych występków,

jakich pobłażliwość i słaba wola rodziców poskromić w nim nie zdołały. To znowu zbudzało się sumienie jego przypominając mu to, czem był i gdzie się znajdował, a wtenczas rozpaczy pełen z tą samą energią i zawziętością, jakie w innych razach właściwe były charakterowi jego, przeklinał siebie samego, złorzeczył Stworzycielowi, rzucał klątwę na żołnierzy, którzy go ranili, na tego, który ich prowadził, i na własnych towarzyszy swoich. Potem widząc, że wszystko to razem żadnej boleści jego nie sprawia ulgi, przeklinał świat cały, mężczyzny, kobiety, dzieci, które jeszcze nie żyły na świecie, jednym słowem wszystko i wszystkich, cokolwiek rozburzona wyobraźnia jego zdołała przywołać do pamięci.

Po takiej nocy zapadł nie w sen spokojny i orzeźwiający — bo sen nigdy już nie miał spocząć na powiekach jego, które w chwili, kiedy inni

spoczywali, były otwarte, żeby dokonać strasznych planów kradzieży i zbrodni, jakie w grzesznym wyrodziły się sercu — lecz w rodzaj odurzenia, podczas którego oczy całe krwią zaszele nie zamknęły się, skierowane wiecznie ku mgłą pokrytej przestrzeni, w której widziały rozmaite straszne przedmioty. Kobieta jakaś, od dawna tam zatrudniona, która pielegnowała chorego, a którą długoletnie pożycie z razbójnikiem i częsta sposobność patrzenia na okropne sceny zbrodni i grzechu uczyniły martwą na wszystko i nieczułą, tak iż machinalnie bez wszelkiego współczucia dopełniała obowiązku czuwania nad cierpiącym, nie znając różnicy pomiędzy chorym, który u Boga szuka ulgi i pomocy, a chorym zbrodniarzem bez iskierki wiary, sądziła na pewno, że naczelnik już nie żyje. Położyła jednakże dla pewności piórko na wargi jego, żeby przekonać się, czy jeszcze oddycha.



Piórko jednakże poruszało się i to nawet dosyć silnie, tak iż trudno nawet było przypuścić, żeby naczelnik był konającym. Nie bardzo pewnie była zadowolona z tego, że przypuszczenie jej się nie spełniło, gdyż z serca życzyła sobie, aby rozbójnik czempredzej przeniósł się do wieczności i uwolnił ją od obowiązku, który doprawdy nie był przyjemnym. Z gniewem też wyciągnęła z pod głowy chorego miech napejniający liściem, który służył za poduszkę, chcąc tym sposobem czempredzej urzeczywistnić szczerze życzenia swoje.

W tym stanie letargu słowo „umierający“ jakie wyrzekł Piotr głosem obcym, który jednakże niezupełnie nieznanym wydał się rozbójnikom, zbudziło chorego. Zwrócił się gwałtownie w stronę, z której głos go dochodził, poglądając w okół siebie na wszystkie strony, ale niestety nie widział przed sobą jak głębokie ciemności.

— Któż to mówi o śmierci? — zawołał głosem chrapliwym i przerażającym, — któż jest umierający?

Mimo gwałtowności tego wykrzyku i chociaż Piotr nie przypuszczał, żeby tak blisko mógł się znajdować tego strasznego człowieka, którego gniew okrutny tak dobrze sobie przypomniał, doświadczywszy go na samym sobie, nie stracił jednakże ani na chwilę przytomności umysłu, lecz odpowiedział natychmiast.

— Ty, ty jesteś umierający, i ciebie tu przyszedłem odwiedzić, a podając mu krzyż, dodał: — Ucałuj obraz Tego, który umarł za ciebie; obraz Tego, dla którego zasług i na ciebie miłosierdzie boskie wylać się może.

Lecz ranny odepchnął z gniewem od siebie ten symbol wiary i zapadł na nowo w stan jakiegoś odurzenia, w którym znajdował się przed chwilą. Wszystkich oczy zwróciły się na niego, kiedy usta otworzył, wszyscy wy-

czekiwali jakiegoś wybuchu gniewu i kłatwy, a wszyscy z niedowierzaniem i z zdziwieniem widzieli go spokojnego i jakby bez uczucia. Utrzymywali, że kona. I Piotr tego samego był zdania, a myśl, że może wkrótce dostać się w ręce Boga straszliwego, nie pozwoliła mu tracić czasu, tylko czynić dla chorego wszystko, cokolwiek w podobnych okolicznościach uczynić było można.

— Nie odpychaj świętego tego symbolu, odrzekł, — bo jeżeli ty go odrzucisz, On ciebie odrzuci; a wiem, co cię czeka potem — straszne męki piekielne! — oh! pomyśl i uznaj Zbawiciela Twego, zanim przejdzie godzina twoja!

Mówiąc to, podał na nowo krzyż umierającym; ale ten odepchnął go na nowo. Smutne wrażenie, jakie z tego uczuł Piotr, przerwane zostało odzyskaniem przytomności chorego. Powrót ten tak niespodziany do zmy-

słów dał się uczuć we wszystkich ryśach i ruchach chorego, niezwłocznie też wybuchł ów gniew i owe bluźnierstwa, na jakie już przed chwilą przysposobieni byli towarzysze. Bluźnierstwa te tak były straszne i okropne, że przerażały one tych, którzy najwięcej byli zatwardziali. Po chwili zdawał się być zmęczony; głos jego, którego tony zawsze zostały te same, ostre i gwałtowne, słabnieć począł. W tej samej chwili jednakże nowa jakaś myśl strzeliła przez umysł jego; popatrzył on się z uwagą i zimnym spokojem na Piotra, tak jakby go poznawał i rzekł ale głosem, który mimo wszelkich wysilań, wydawał się jakby ochryplem mrużeniem:

— Ah! czy nie widzisz, kto?

Dalej mówić nie mógł, i na nowo nastąpił stan nieprzytomności. Wszyscy patrzyli na Piotra, widzieli, że naczelnik go poznał — a poznał, nie wątpili o tem, jako zdrajcę i szpiega.

W oka mgnieniu rzucili się ku niemu, żeby go pochwycić i zepchnąć do przepaści — do tej samej, na jaką skazał go lat temu kilka sam naczelnik bandy. I cóż czyni zakonnik? Wiedział on, że go poznano, lecz zaledwie pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie stąd mu groziło, cały zajęty uratowaniem duszy nieszczęśliwego grzesznika, który za chwil kilka miał opuścić ten świat, żeby rozpocząć zasłużoną karę swoją w wieczności. — Skutkiem częstych rozmyślań umiał on sobie mniej więcej wyobrozić owe piekło, na którego brzegu sam już był się znajdował, to też starał się, party uczuciem miłości bliźniego i pełen namaszczenia boskiego, wyrwać chorego z tych niepojętych cierpień, które się nie kończą nigdy. Rozbójnicy podskoczyli wprawdzie ku niemu, żeby raz komedyi tej położyć koniec, ale zatrzymali się, widząc spokój i nieustraszoną zakonnika. Naczelnik za-

ledwie ukończył zdanie swoje, kiedy Piotr bez zwłoki w następne odezwał się słowa:

— Najśw. Matko, przyjdź na pomoc moję! — O ty, który już prawie dotykasz wieczności, zatrzymaj się jeszcze na chwilkę, gdyż tak umrzeć nie możesz! Wejrzyj na Tego, którego ramiona rozwarte, żeby cię objąć i przytulić do siebie! Nie widzisz, że krew leje się z boku Jego za twoje grzechy? Czy nie widzisz, jak głowa Jego pełna smutku i boleści, zmęczona skłania się w chwili okropnego konania? A to wszystko dla ciebie grzesznika! Oh! czyż pojąć i zrozumieć tego nie jest zdolne serce twoje?

A widząc ciągle jeszcze dzikie wejście biednego nieszczęśliwego, tak ciągnął dalej:

— Nie! nie możesz zrozumieć tego, a przecież umarł On dla zbawienia twego!



Lecz nie zdołalibyśmy powtórzyć owych prózb i zaklinań najrozmaitszych, jakich użył w celu zbawienia duszy zatwardziałego grzesznika pokorny i bogobojny zakonnik. Wystarczy powiedzieć, że z niepokojem i obawą śledził każdą chwilę przytomności, jaka po małych przerwach wracała choremu. W chwili takiej starał się wlać uczucie miłości Boga do serca nieszczęśliwego, dowodami przekonywającemi zapewnić o dobroci i miłosierdziu Jego, zmiękczyć zatwardziałe serce i złamać upartą a przesadów pełną wolę chorego. A ile razy przytomność ta opuszczała unierającego, zwracał się Piotr do otaczających go rozbójników, zachęcając ich do wspólnej modlitwy, prosząc, żeby błagali Tego, który nie chce śmierci choćby największego grzesznika, a nadto żeby udali się każdy do swego Patrona, w celu sprosznienia konającemu łaski nawrócenia.

Po pewnej chwili na nowo zbliżył krucyfiks do ust chorego; lecz i tym razem jeszcze odepchnął go od siebie chory. Mimo to wytrzymał kapłan nie stracił nadziei ani zaufania; dopóki serce jeszcze bić nie przestało, dopóty mógł ufać, że w sercu tem na nowo zatli się i rozżarzy grzechem przyduszoną iskra miłości boskiej, iskra, jaką Bóg sam niegdyś zapalił w dzień chrztu św., i na nowo serce to zwróci się do Tego, dla którego stworzonym zostało. Wszelakoż wysilenia te jak również obawa, żeby chory nie zgasł bez pojednania się z Bogiem, tak zmęczyły biednego zakonnika, że pot wystąpił mu na czoło, sam zaś chwiał się począł i upadać do ziemi. Któryś z rozbójników powstrzymał go ramieniem swoim, inni tymczasem patrzyli się na naczelnika. Wzrok jego już nie był tak dziki, jak zwykle; nie mógł już się ruszać, nie mógł mówić, lecz widocznie żądał czegoś. Jeden tedy

z gromady dał mu krucyfiks, zbliżając go do sinawych warg umierającego, i o cudo! tą razą naczelnik nie odepchnął godła zbawienia, ale uściśnął wobec wszystkich i ucałował Tego, którego całym swoim życiem tak ciężko obraził. Potem skinieniem głowy podziękował za tę ostatnią łaskę, spuścił powieki i skonał.

Zakonnik oparty na ramieniu ciągle tego samego człowieka, który z początku pełen był zemsty i zapaleczości dla sługi bożego, a teraz z dziwnem jakimś patrzył na niego uwielbieniem — słyszał pocałunek, jaki złożył umierający na ranach Chrystusowych, wznosił przetoż serce pełne dziękczynienia do Boga, bo widział, że nieba wysłuchały modlitwę jego.

Nie jednakże nie mówił, lecz jakby dziecko jakie lub umarły bez władzy wszelkiej znajdował się w rękę rozbójników. I rzeczywiście śmierć jego była bliska. Rozmaite próby tak

fizyczne jak moralne, jakie przeszedł w życiu, zanadto były ciężkie i dotkliwe, żeby nie zostawiły śladu jakiego cierpienia po sobie. Od dawna już cierpiał na serce, a choroba ta z dniem każdym się wzmaciała. Wskutek zmęczenia na nowo stracił przytomność, a bladawe lica jego podobne były do bladości śmiertelnej.

Kiedy przyszedł do siebie, spojrzał na tych, którzy ze strachem kupili się koło niego, wzrokiem — jak to później sami powiadali — tak czułym i pełnym łagodności, że idąc za ich przekonaniem nie byliby mogli zapomnieć go nigdy, nawet wtenczas, gdyby — jak to uczynili teraz — nie byliby byli dobrowolnie wrażenia tego, jako kosztownego wspomnienia, zachowali w sercu. Potem wznosił Piotr wzrok swój w górę, z pogardą jakoby patrzył na świat ten i znikomość jego, a wargi jego poruszały się ciągle powtarzając, jak któremuś z rozbójników się

zdawało, część psalmu: „Teraz wypuść Panie sługę w pokój.“

Osoby, cierpiące na serce i umierające na podobne choroby, znajdują się na przemiany pomiędzy życiem a śmiercią, zostawiając tych, którzy ich otaczają w wątpliwości i niepewności tego, co jeszcze Panu Bogu będzie się podobało zesać im na koniec. Podobnie było z Piotrem. Kiedy już duża jego uleciec miała w lepsze krainy, opuścić to ciało i świat ten pełen zgryzot i cierpień, chory odzyskał przytomność, a szukając ręką po kieszeni, usiłował wyciągnąć z niej papier jakiś drukowany, rodzaj dokumentu, żeby go oddać przed zgonem jeszcze tym, których los go tak bardzo obchodził. Lecz ostatnia już nadeszła godzina, głowa jego spadła na twardą poduszkę, i świątobliwy zakonnik żyć przestał. Bohater ten Chrystusowy legł na polu bitwy. W rzeczy samej wielkiego on dokonał zwycięstwa, wypel-

nając uczynek miłości bliźniego za przykładem mistrza swego, który nie pracował sam dla siebie, ale dla innych. Bohaterzy tego świata mogą znaleźć śmierć, goniąc za marnym zaszczytem, do jakiego dąży wygórowana ambicya i próżność ludzka, albo też, co jest chwalebniejszym, zginąć w chwili, kiedy dochowują obowiązku, jaki na nich nakłada sprawa ojczyzny, ale bohater Chrystusowy, w pełnym zaparciu się samego siebie, umiera jak niegdyś męczennicy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa z miłości dla Boga, albo, jak to widzimy z naszego przykładu, z miłości dla któregoś z braci swoich.

„Ja wam daję nowe przykazanie, które na tem polega, abyście miłowali jeden drugich, abyście tak, jak ja was umiłował, wy także miłowali się pomiędzy sobą. Po tem to poznają wszyscy, że uczniami moimi jesteście, jeżeli miłość mieć będzie-



cie jedni dla drugich.“ (Jan św. XIII. 34-35.)

A na innym miejscu:

„Nikt nie posiada większej miłości jak ten, który życie daje za przyjaciół swoich.“

Rozbójnicy chwilę całą patrząc w smutnem i głębokiem milczeniu na martwe to ciało człowieka, który, czuli to dobrze w sercu, nie tylko za jakiego z nich, ale za powrót do ludzi, do własnego sumienia i do Boga całej ich bandy, ofiarował życie swoje, kiedy widzieli, że już nie rusza się więcej, zajęli się pogrzebem jego. Papier, jaki w chwili śmierci swojej Piotr starał się wyciągnąć z kieszeni, na połowę tylko z niej wyglądał. Rozbójnicy wzięli go i otworzyli w tej myśli, że zajmował może ostatnie życzenie umarłego, mianowicie co do pogrzebu jego, lecz wnet przekonali się, że była to odezwa papieżka urzędowa, którą Ojciec św. ogłosić kazał

w sąsiedztwie całem, gdzie się znajdowały bandy rozbójników, ale odezwy tej dotąd żaden egzemplarz nie doszedł do rąk tych osób. Treść urzędowego tego dokumentu polegała na tem, że Ojciec św. zupełnie daje ułaskawienie tym rozbójnikom, którzyby w czterdziestu ośmiu godzinach ciało naczelnika ich zmarłego czy żywego dostawili do głównej kwatery wojskowej w Rocca Priora, którzyby nadto spowiedź złożyli przed kapłanem i powrócili do wsi, w której się urodzili, ażeby tam pod dozorem policyjnym zostać przez dwanaście lat następnych.

Dokument ten był widocznym dowodem dla bandy, że ostatnia myśl umierającego do nich się odnosiła, a przekonanie to dziwnie poruszyło ich sercem. Opatrzność tak zrządziła, że w chwili, w której dowiedzieli się o treści odezwy, banda ich rozwiązana została śmiercią naczelnika, że tym sposobem ciało jego zostawało do ich

dyspozycyi, i że mogli, nie uwłaczając wcale ani sumieniu ani dobremu imieniu, odprowadzić je na miejsce oznaczone. Jedni patrzyli na drugich jak to zwykle bywa, kiedy brak przewodnika, który decyduje sprawę. Widoczne jednakże było, że wewnątrznie zgadzali się wszyscy na to samo; wzrok nawet tych, którzy ukłękli dla tego, że widzieli innych klęczących, którzy płakali dla tego, że widzieli łzę w oku innych, okazywał skłonność do przyjęcia warunków, jakie im ofiarowano; a tą razą nie dla tego, że widzieli tę samą skłonność i chęć u innych, ale z własnego popędu, z własnej woli i przekonania. Tak więc rozwiązała się jedna z najstraszniejszych band zbójceckich, jakie natenczas niby zaraza szerzeły śmierć i zniszczenie po kraju.

Czemprędzej przygotowano skromny katafalk, na którym złożono ciała obydwóch zmarłych. Lecz jakżeż ro-

zmaite były uczucia, jakie pobudzał w sercu ich widok tych dwóch tak różnych od siebie istot. W jednym widziano człowieka, który życie swoje ofiarował za ich zbawienie, w drugim człowieka, którego okrucieństwa, przeklestwa i zbrodnie mimowolnie wracały im na pamięć. Nie mogli popatrzyć się ani dotknąć jednego, jak z uszanowaniem i czcią, jaka należy się świętym, jak również z wdzięcznością, która godna największego dobroczyńcy; drugi natomiast wzbudzał w nich dziwną jakąś i przykrą mieszaninę uczuć, pochodzących ze znajomości strasznej, jaką mieli o życiu jego, które pełne zgrozy stało się niejako mniej występniem i winnem przez jeden akt, a to ostatni jakiego dokonał umierający. A chociaż akt ten, taką mieli nadzieję, wydawał się początkiem skruchy, to jednakże skutek jego zostawał wątpliwy, gdyż P. Bóg nie pozwolił, żeby dojrzał zupełnie i doszedł do pełni

przez przyjęcie Sakramentów św. i ostatnie błogosławieństwo Kościoła.

Postarawszy się o dwie trumny, złożyli doń ciała, a włożywszy je na barki swoje, wyruszyli z nieszczęsnego miejsca, opuścili jaskinię, żeby już nigdy do niej nie wracać. Ostrożnie i powoli spuszczał się z góry smutny ten orszak ścieżką skalistą ku dolinie, otoczony gromadą kobiet i dzieci należących do bandy, które dźwigały rozmaite narzędzia i przyrządy kuchenne, jakie zabrać wydało im się odpowiedniem.

Przybywszy do Rocca Priora, znaleźli miłe i serdeczne przyjęcie. Sekretarz stanu natychmiast poinformowałszy się o wszystkim, co było zaszło, zasłał dokładne sprawozdanie Jego Świątobliwości i odebrał rozkazy, które natychmiast wręczył komendantowi, a które wymagały, żeby rozbójników, którzy w pewnym już byli wieku, zaopatrzyć we wszystko, co-

kolwiek do spokojnego życia im będzie potrzebne, a młodszych, gdyby mieli siłę i wolę do tego, przyjąć do wojska. Jedni przyjęli ostatnią propozycją; inni odmówili z obawy dla ostrej dyscypliny, której poddać się byli musieli, a krótko potem powrócili niestety do dawniejszego życia. Ale byli i tacy, którzy dla tego nie chcieli wstąpić do wojska, żeby swobodniej móżdż prowadzić życie religijne, co nie zawsze łatwo żołnierzowi. Ci tedy powrócili na miejsce ich urodzenia, oddali się z poświęceniem obowiązkom, jakie tam znaleźli, a nie znalazłszy stósownego zajęcia w rodzinnem miejscu, udali się do klasztorów, gdzie zawsze znaleźli i serce i miejsce gotowe.

Ciało Piotra poprowadzili braci-szkowie zakonu do klasztoru i pochowali na swoim cmentarzu. Zakrystyan klasztoru dziś jeszcze wskazuje obcym mogiłę, gdzie spoczywają zwłoki świątobliwego zakonnika, a kiedy opowia-



da historią życia jego, nigdy nie zapomni dodać, że krótko po pogrzebie Ojciec św. z nową przybył wizytą do klasztoru i że na gołej ziemi klęcząc modlił się nad pozieleniałą mogiłą Piotra.



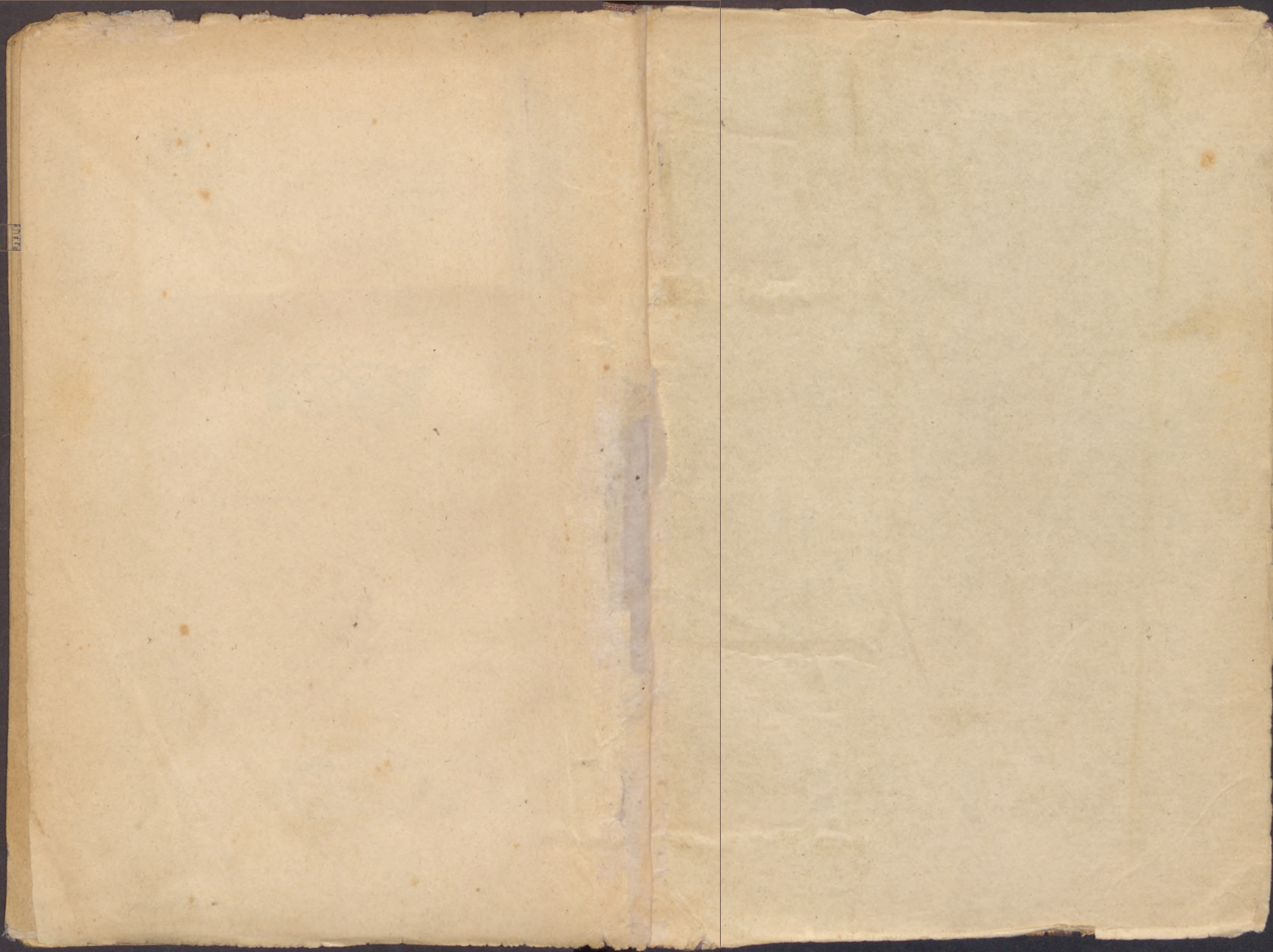
293A.




Biblioteka Główna UMK



300000232670



- O Dobrocie i Złobogiej czyli złoty kołowrotek. 10 fen.
- Widmo, zdarzenie prawdziwie. 10 fen.
- Jednego brak. 15 fen.
- Ahaswerus, żyd wieczny tułacz. 20 fen.
- Śpiewak Wielkopolski. 50 fen.
- Praktyczna Kucharka. 1,25 f.
- Płacz i narzekanie Ojców św. przed Narodzeniem Chrystusa Pana 4000 lat w Otchłaniach będących. Cena 80 fen.
- Genowefa. 40 fen.
- Bolesław czyli dalszy ciąg życia Genowefy. Cena 50 fen.
- Koszyk kwiatów. 40 fen.
- Historia o siedmiu mędracach. 50 fen.
- Historia o królewiczu, którego własny ojciec zaprzedał. 40 fen.
- Toastnik, czyli przemowy przy rozmaitych uroczystościach familijnych. 50 fen.
- Oracye i przemowy weselne. 30 fen.
- Listownik czyli wzory pisania listów. 50 f.
- Przeróżliwe Echo Trąby Ostatecznej. 60 f.
- Sąd Ostateczny. 40 fen.
- Męki piekielne. 20 fen.
- Sybilla. Zbiór proroctw i przepowiedni 40 f.
- Głos Synogarłicy. 1 m.
- Los sieroty. 30 fen.
- Dobry Franuś i zły Kostuś. 1 m.
- Poradnik domowy lekarski. 75 fen.
-  Wiele innych ciekawych książek. 